

„Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey- Krzeczowski (2)

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Wspomnienia Jerzego Korey-Krzeczowskiego, w dwóch częściach – do wyjazdu na emigrację do Kanady (1951 r.) i do 2003 r., są wynikiem wielu godzin spędzonych na rozmowach, spisanych, autoryzowanych i pierwotnie opublikowanych w „Liście oceanicznym” w Toronto (nr 10, październik 2003 i nr 11, listopad 2003).

*



Jerzy Korey-Krzeczowski, Toronto 2001 r.

Wspomnienia z czasów emigracji do 2003 r. – Kanada

*

Trudne początki

Latem 1951 roku, przyjechaliśmy do Halifaxu. Bardzo szybko odbyła się odprawa celna, wszystkie nasze rzeczy zostały nadane na pociąg do Montrealu. Dlaczego zdecydowaliśmy osiedlić się w

Montrealu? Między innymi dlatego, że znaliśmy dodatkowo język francuski. Zawsze jest łatwiej, gdy się zna dwa języki.

W Montrealu, na stacji kolejowej czekał na nas kolega, Domokos Gyallay-Pap, który był na placówce w Bukareszcie w ambasadzie węgierskiej, w tym samym czasie, co ja. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy i cały czas byliśmy w kontakcie. Osiedlił się w Montrealu cztery miesiące przed nami. Powitał nas na stacji i zabrał do małego mieszkanka, które nam wcześniej wynajął. Wieczorem poszliśmy na kolację. Tak więc pierwsze nasze doświadczenie kanadyjskie to *barbeque chicken* i lody. Byliśmy mu wdzięczni, że się nami zajął i że znalazł nam mieszkanie.

Po paru dniach zacząłem szukać pracy. Ale w tym okresie nie było łatwo znaleźć pracę, ze względu na ogromny napływ emigrantów. Kanada to sezonowy kraj, o dużym bezrobociu, zwłaszcza jesienią. Zdecydowałem się więc na niezwykle zajęcie. Niezwykłe w stosunku do tego, co dotychczas robiłem. Poszedłem do dyrektora personalnego firmy Eaton i poprosiłem, żeby mnie przyjął do pracy. Dyrektor był bardzo kulturalnym człowiekiem, długo ze mną rozmawiał i się mną zainteresował. – Tylko, że – mówi – nic pan nie wie na temat sprzedaży, przecież pan nie sprzedawał. Ja całe życie sprzedawałem – odpowiedziałem – sprzedawałem siebie. Poza tym jest dziedzina, w której jestem bardzo dobrze zorientowany i nikt z pańskich ekspertów mi nie dorówna. Jest to znajomość wschodnich

dywanów. – Hmm – zastanowił się dyrektor – wprowadzicie mamy dział dywanów, ale mało ich sprzedajemy. – Niech więc mi pan pozwoli dodatkowo sprzedawać linoleum. – Ok – zgodził się dyrektor – to jest ten sam dział. Zatrudnię pana. Pańska pensja będzie wynosić 42 dolary na tydzień. A ja na to – ponieważ mówię kilkoma językami, mogę obsługiwać grupę nowych emigrantów i to różnych narodowości. Myślę więc, że będę dobrze sprzedawał. Wobec tego prosiłbym pana, o 2% od sprzedaży. Dyrektor zgodził się, choć nie wierzył, że to będzie chodliwy towar. A ja tyle sprzedawałem, że sam procent był większy niż moja pensja, ponad 40\$ na tydzień. Radziłem więc sobie doskonale. Stan ten trwał do Bożego Narodzenia. W okresie świątecznym dyrekcja zwolniła wszystkich emigrantów, bo już nie było co sprzedawać. Ja też zostałem zwolniony. Musiałem znów szukać pracy.

Poszedłem do biura miejskiego, gdzie kierowali ludzi do prac porządkowych. Mówię im, że się zgłaszam do odśnieżania ulic. A oni na to – panie my tu mamy całą Europę i już pana nie potrzebujemy. Sami Europejczycy odśnieżali miasto. Wobec tego zacząłem wertować gazety i znalazłem ogłoszenie, że firma lotnicza Canadair Ltd. szuka ekonomisty. Szybko się tam zgłosiłem, zdałem wszystkie potrzebne testy i zostałem przyjęty jako szef sekcji z pensją 120\$ na tydzień. Miałem też prawo zaangażować 30-tu Europejczyków. Przyjąłem więc do pracy w mojej sekcji wielu Polaków, m.in. z Londynu, którzy skończyli

tam studia, znali język, a wśród nich kilku dawnych oficerów. W Canadair Ltd. pracowałem chyba przez 2 lata i bardzo dobrze zarabiałem, ale mimo to zdecydowałem, że przejdę do *management consulting*.

Po szczeblach managementu

Zgłosiłem się do znanej w Montrealu firmy Leetham Simpson Management Consultants. przeprowadzili ze mną *interview* i zorientowali się, że znam kilka języków. Było to dla nich dużą zaletą, bo chcieli mieć swoje filie na całym świecie, również w Europie, dlatego cenny był pracownik z biegłą znajomością niemieckiego i francuskiego. Wobec tego zaangażowali mnie. Moja początkowa pensja wynosiła 10 tys. dolarów rocznie. Szybko się uczyłem zarządzania, dużo wyjeżdżałem i pracowałem w różnych krajach.

W niedługim czasie wielka amerykańska firma Werner Management Consultants proponowała Leetham Simpson, żeby grupa z mojego działu wraz ze mną pojechała do pracy w Brazylii. Mielśmy pracować na kontrakcie dla bardzo bogatego hrabiego Matarazzo, kontrolującego 102 największe firmy świata, znajdujące się m.in. w południowej Ameryce. Firma Werner podpisała z nim specjalną umowę, która mówiła, że jeśli nie zaoszczędzimy mu 1 mln dolarów rocznie, nie musi nam nic zapłacić za pracę. Oczywiście byliśmy pewni, że zaoszczędzimy

mu więcej. I rzeczywiście, w każdym roku oszczędzaliśmy ok. 2-3 mln dolarów. Ten człowiek nie wiedział jak koło nas chodzić i zatrudnił nas (12 osób) w swoich firmach. Znając się na zarządzaniu, przynosiliśmy mu ogromne zyski. Tak więc dobrze sobie radziłem za granicą.



Od lewej: Jerzy Korey-Krzeczowski z żoną Ireną, R. T. Hon i John N. Turner, późniejszy premier Kanady, 1966 r., fot. arch. J. Koreya-Krzeczowskiego

Byłem też doradcą w fabryce plastików w Rio de Janeiro. O plastikach nic nie wiedziałem, umiałem natomiast tak zorganizować firmę, żeby przynosiła zysk. Właściciel tej fabryki zaproponował mi, abym wytrenował jego syna. Chciał, by syn w

przyszłości mógł po nim zostać prezydentem. Zacząłem więc go uczyć. Nauka jednak wymagała stałej obecności w Brazylii, wobec tego właściciel zaproponował mi 5 letni kontrakt. Miałbym zarządzać jego firmami i uczyć jednocześnie syna. A jaką mi zaoferował płacę? 100 tys. dolarów rocznie, płatne w Szwajcarii, *tax free*. Powiedziałem żonie o tej propozycji, a żona na to – Nie możemy pojechać na 5 lat do Brazylii, bo nasz syn kończy gimnazjum w Kanadzie, potem pójdzie na Uniwersytet, to nie jest czas, żebyśmy go zostawili samego. Więc z bólem serca – odmówiłem. A ten właściciel na to – Skoro pan mi odmawia, to może znajdzie pan kogoś w Ameryce, kto kupiłby moją firmę. Długo myślałem i znalazłem wielką amerykańską firmę, zainteresowaną w nabywaniu firm zagranicznych. Brazylia wyglądała dla nich atrakcyjnie. Spotkałem się z prezydentem tej firmy i powiedziałem mu o transakcji, że jest taka możliwość, że mógłby ją przejąć stosunkowo łatwo i za niewielkie pieniądze. Po zapoznaniu się ze sprawą prezydent mówi – jutro lecimy do Brazylii. Zabrał mnie swoim samolotem i poleciliśmy. Przejął tę firmę tego samego dnia.

Po jakimś czasie jedna z wielkich firm farmakologicznych z New Jersey, Carter – Wallace Inc. zaproponowała mi stanowisko *management director*. Powiedziałem jednak, że mogę być jedynie konsultantem, a będę mieszkał w Toronto. – Niech pan przylatuje do nas co tydzień samolotem, będzie pan od poniedziałku do piątku u nas, a w sobotę i niedzielę z rodziną – odpowiedzieli mi

na to. Miałem więc taki okres, że przylatywałem samolotem lądującym w centrum miasta i jechałem do firmy. Przynosiłem im zyski, więc mnie rekomendowali. Stałem się znany w tej dziedzinie.

W stronę nauki

W latach 1968-69, w Montrealu miały miejsce różne rozruchy i zamachy, (np. wysadzano w powietrze skrzynki pocztowe). Zamachy organizowali francuscy nacjonaliści, którzy chcieli oderwać Quebec od Kanady. W tym okresie wielu mieszkańców Montrealu decydowało się przenieść do Toronto. Powiedziałem do żony, że przeniosę się tylko wtedy, jeśli znajdę odpowiednie stanowisko. Zacząłem się więc rozglądać za pracę. Trafiłem na ogłoszenie, że Ryerson Politechnic poszukuje osoby na stanowisko Dean of Business. Wypełniłem papiery i wysłałem. Minęło parę miesięcy, zanim dostałem odpowiedź – Szanowny Panie otrzymaliśmy 202 podania. Jest pan w grupie 10 osób, których wytypowaliśmy jako poważnych kandydatów i wobec tego zapraszamy pana na cały dzień, na rozmowy z prezydentem i profesorami. Przyjechałem do Toronto i byłem na uczelni cały dzień, od rana do nocy. Czułem, że wyraźnie wygrywam. Dużym atutem było moje doświadczenie w *management consultants*, gdyż szkoła była bardzo zadłużona i trzeba było ją rozwinać. Pomyślałem więc w duchu, że jestem dla nich dobrym kandydatem. Nie dali mi jednak od razu odpowiedzi. – Musimy

jeszcze porozmawiać z innymi kandydatami i zawiadomimy pana – powiedzieli.

Wróciłem do Montrealu, a tam za 2-3 dni przyszedł list, że Narody Zjednoczone poszukują doradcy ekonomicznego dla szacha Persji na 5-cio letni kontrakt. *Duty i tax free*. Pomyślałem, że koniecznie muszę pojechać na tę rozmowę. Zadzwoiłem i na następny tydzień, w poniedziałek miałem się tam zgłosić. Pojechałem rano samolotem. Rozmawiam z dyrektorem personalnym, on mi opowiada jakie są szanse i możliwości, że się mną poważnie interesuje, że jestem jednym z tych nielicznych, którzy władają kilkoma językami i którzy mają tego rodzaju doświadczenie itd. W tym momencie jest telefon. Ktoś mówi, że muszę natychmiast przerwać rozmowę i odebrać ten telefon. Podejmuję rozmowę, dzwoni prezydent Ryerson i mówi – Wytypowaliśmy pana, jest pan naszym kandydatem, a ponieważ zarabia pan dużo więcej, niż my możemy panu dać jako Dean of Business, to proponujemy panu jednocześnie stanowisko executive vice President. Będzie pan miał dwie posady, dwa biura, dwie sekretarki i odpowiednio dużą pensję. Rozmawiałem z pańską żoną – mówi dalej prezydent Ryerson – ona mi powiedziała, że pan właśnie rozmawia w sprawie pracy, więc poprosiłem ją żeby tę rozmowę przerwać. Mam nadzieję, że nie podpisał pan jeszcze kontraktu. A ja na to – Nie, jeszcze nie, ale jestem blisko. – Niech Pan tego nie robi, dostaje pan fantastyczne warunki.

Wróciłem do domu, zrezygnowałem z kontraktu u szacha Persji. Syn już wtedy skończył studia w Montrealu i studiował na uniwersytecie w Western Ontario. Był usamodzielniony, miał zamiar się ożenić. A ja zdecydowałem się przenieść do Toronto. I nie żałowałem. W Ryerson miałem bardzo ciekawą pracę i bardzo ją lubiłem. Miałem wtedy świetną pamięć. Zapamiętałem imiona wszystkich profesorów z mojego wydziału. Mogłem nazwisk nie pamiętać, ale do każdego z ok. 500 osób mówiłem po imieniu – Hi John, hi Helen itd. Byli zadziwieni, że pamiętam ich imiona.

Canadian School of Management

Szkoła była moim wielkim sukcesem. Początkowo chciałem stworzyć na Ryerson studia na odległość. Nie było to jednak możliwe, gdyż Politechnika nie miała odpowiedniej kadry profesorskiej, która mogłaby uczyć ludzi z wieloletnim doświadczeniem zawodowym. Dlatego założyłem samodzielną szkołę wyższą. W krótkim czasie z 50 studentów, miałem 100-u, 150-u i 200-u. Szybko się rozwijała i dawała wykształcenie tym ludziom, którzy nie mogliby sobie pozwolić na przerwanie pracy. Kursy na odległość były dla nich dużym udogodnieniem. Moi studenci dobrze zarabiali, ale potrzebowali uzyskać stopień zawodowy. Dotyczyło to głównie szpitalnictwa. Przeprowadziłem badania na ten temat i okazało się, że w administracji szpitalnej tylko 5-6% ludzi miało wykształcenie MBA. Zacząłem więc kształcić zawodowych administratorów szpitalnictwa, ludzi,

którzy teraz zarabiają po 300 tys. będąc managerami największych szpitali w Kanadzie. Poza tym w szkole studiowało dużo ludzi z innych działów administracji, którzy potrzebowali podwyższyć swoje kwalifikacje. Mają teraz wysokie stanowiska. Wykształciłem kilku członków parlamentu, kilku wiceministrów. Wydaje mi się, że to było dobre posunięcie, nie było wówczas takiej szkoły. Skoro jestem naśladowany, to jest to największe uznanie.

Po 20 latach istnienia szkoły, Canadian School of Management przejęli Brytyjczycy, z którymi od dawna współpracowałem. Do dziś jestem kanclerzem szkoły, ale ograniczyłem już odpowiedzialność i uczestnictwo w różnych uroczystościach. Poza tym założyłem szkołę, z programem MBA w Pakistanie, potem w Indiach. Z Pakistanem przez ostatnie dwa lata nie utrzymuję kontaktu, żeby ich nie narażać z powodu sytuacji politycznej. Powodem tym są też różnego rodzaju rozgrywki między Indiami i Pakistanem.

Mam w tej chwili 4000 absolwentów w Kanadzie we wszystkich dziedzinach i 2800 w Indiach. Jestem dumny z tego osiągnięcia. Po 28 latach mogę powiedzieć, że jest to pewien wkład, który mogłem dać Kanadzie, krajowi, który przyjął emigranta. To jest ważne.



Jerzy Korey-Krzeczowski z żoną i papieżem Janem Pawłem II, fot. arch. J. Koreya-Krzeczowskiego

Multikulturalizm

Należałem do wielu organizacji, trudno mi wszystkie wymienić. Byłem m.in. Przewodniczącym Rady Wielokulturowości przy rządzie Prowincji Ontario. Miałem biuro w biurach parlamentu, trzy osoby do prac biurowych, sekretarkę.

Co miesiąc byliśmy w innym mieście Ontario i spotykaliśmy się ze wszystkimi grupami etnicznymi, żeby wysłuchać ich problemów. Potem składaliśmy propozycje do rządu. W okresie czterech lat złożyliśmy ponad 100 propozycji, z czego 95 zostało zaakceptowane. Jedną z takich propozycji było zatrudnienie tłumaczy w szpitalach, aby pomagać ludziom nie mówiącym po

angielsku. Inna propozycja to przyznawanie grantów dla szkół etnicznych. Wcześniej za szkoły trzeba było samemu płacić. Jednym z naszych pomysłów był też sposób finansowania kultur etnicznych – z części dochodów, jakie przynoszą gry hazardowe. Stany Zjednoczone są monolitem, wszyscy mają być amerykańscy. W Kanadzie przekonaliśmy rząd, że grupy etniczne chcą zachować swoją tożsamość i przekazać dziedzictwo swoim dzieciom, a jednocześnie chcą być obywatelami Kanady. I to się nie wyklucza. Najpierw tę koncepcję zaakceptował rząd Ontario, a potem wszystkie inne rządy.

Teraz

Od czasu, gdy przekazałem Canadian School of Management, mam więcej czasu na pracę. Od czasu do czasu piszę wiersze. Wiersze najczęściej piszę po polsku, aczkolwiek czasem zdarza mi się napisać po angielsku. Poezja, jakoś bliższa jest mi po polsku, gdy np. na studiach ekonomicznych pisałem z reguły po angielsku, czasem po francusku lub niemiecku.

Pracuję nad różnymi zagadnieniami, które mnie interesują, chciałbym napisać jeszcze coś po angielsku. Miałem niezwykle ciekawe życie, myślę, że warto je udokumentować, zapisać i nikt tego tak nie zrobi jak ja sam. Mój syn jest bardzo dumny i pyta się od czasu do czasu – co nowego napisałeś? Chciałby, żebym zostawił po sobie jak najwięcej, żeby on mógł przekazać to

swoim dzieciom.

Z synem zawsze rozmawiam po polsku, to jest taka niepisana umowa, lecz jeśli chce się lepiej wysławić, to mu pozwalam powiedzieć jakąś myśl po angielsku. On dobrze mówi po polsku, muszę powiedzieć, że jestem z tego zadowolony. Cieszę się, że chodził do sobotniej szkoły i uczył się trochę historii Polski i języka. Jego matka wymagała, żeby w domu mówił po polsku i dzięki temu utrzymywaliśmy ten język. To bardzo uzdolniony chłopak. Kiedy studiował na Uniwersytecie w Anglii, w Manchester, miał do zaliczenia dwuletni program. W lipcu przysłał telegram, że niedługo przyjedzie. Myślałem, że przyjedzie na wakacje, a on zaliczył dwa lata w jeden rok. Teraz jest wiceprezydentem firmy farmakologicznej, w której kieruje międzynarodowymi badaniami naukowymi, dotyczącymi leczenia raka. Mieszka w Palo Alto, w Kalifornii. Jestem bardzo z niego dumny i szczęśliwy, że mam takiego syna.

Co jeszcze chciałbym o sobie powiedzieć?.

Miałem niezwykle małżeństwo. W tym roku minęło nam 59 lat małżeństwa, a znamy się 65 lat. – To całe życie, całe dorosłe życie. Jakie mam marzenia? Chciałbym, żeby pewnego dnia moja żona odzyskała głos i zaczęła mówić. To takie marzenie, jedno z największych marzeń w tej chwili w moim życiu. Żeby odzyskała głos i podzieliła się tym, co przeżywa. *(Żona Irena przebywała*

wówczas w ośrodku dla przewlekle chorych, po udarze mózgu była sparaliżowana i nie było z nią kontaktu, przyp. J.S-G.).

*

Część 1:

„Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey-Krzeczowski
(1)

Jerzy Korey-Krzeczowski (1921-2007), ekonomista, dyplomata, publicysta, poeta.

Urodzony w Kielcach, w okresie II wojny świat. żołnierz Organizacji Bojowej Tajnej Armii Polskiej oraz Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej, podpułkownik rezerwy WP. Studia prawnicze na UJ w Krakowie (1940-44), doktorat na Uniwersytecie we Freiburgu (1948-49), doktorat na Uniwersytecie w Tybindze (1950), studia podyplomowe na Uniwersytecie Harwarda (1975). Naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Kielcach (1945-46), attache kulturalny Ambasady Polskiej i konsul w Bukareszcie (1946-47), konsul w Berlinie 1948, w Baden-Baden (1948-51).

W latach 1951-71 doradca ekonomiczny i przemysłowy 13 rządów i 200 wielkich korporacji – wiceprezydent Leetham Simpson Management Consultants w Montrealu i dyrektor Werner Management Consultants Canada Inc. Montreal i Nowy Jork. Prof. (dziekan i wiceprezydent 1971-76, wicerektor 1973, prezydent i rektor 1974-75) Ryerson Politechnic University. Prof., założyciel i prezydent Canadian School of Management i Northland Open University (1976), oraz uniwersytetów w Puno (Indie) i Lahore (Pakistan), prof. Union Graduate School w Cincinnati (1976) i członek rady dyrektorów od 1976 r.

Przewodniczący Rady Wielokulturowości przy Rządzie Prowincji Ontario (1976-80), członek Komitetu

Doradczego ds Konstytucji Kanadyjskiej (1982). prezydent Światowej rady Uniwersytetów bez Ścian (1980) itd.

Wiceprezes i prezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Montrealu (1960-67), przewodniczący Rady Głównej Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Toronto (1967-69), członek Światowej Rady Polonii i Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polonii (1978-81), współorganizator i przewodniczący Światowego Zjazdu Polonii w Toronto (1978).

Człowiek Roku 1981, wybrany przez Ethnic Press Council of Canada.

Członek Rady Najwyższej Zakonu i Wielki Mistrz Orderu Św. Jana Jerozolimskiego z siedzibą na Malcie (odłam Zakonu Kawalerów Maltańskich) itd.

Tomiki poezji:

„Siedemnasta Wiosna” Kielce 1938, „Gołoborze” Kielce 1938, rytm serca 1939, „Liryki nostalgiczne” Nowy Jork 1972, „Lunch w Sodomie” Nowy Jork 1976, „Korey’s Stubborn Thoughts” Toronto 1980, „Tree of Life” Toronto 1982, „Wszędzie i nigdzie” Paryż 1989, „Natrętne myśli” Toronto 1994, „Wiatry życia” Kielce 1995, „Dojrzała pogoda” Kielce 1995, trzynasty tom Kielce 2002.

Strażnik pamięci.

Prof. Zbigniew

Andrzej Judycki (1948-2023).



Prof. Zbigniew Andrzej Judycki uhonorowany odznaką Bene Merito, 2019 r., fot. Tymon Makowski/MSZ, wikimedia commons

Odejście prof. Zbigniewa Judyckiego, 25 stycznia 2023 r., jest wielką stratą nie tylko dla najbliższych i przyjaciół, ale i dla Polonii świata. To wielce zasłużony i niestrudzony biograf tych, których los rzucił poza ojczyznę. Był autorem ponad 60 publikacji biograficznych, organizatorem międzynarodowych sympozjów

poświęconych udziałowi Polaków i osób polskiego pochodzenia w rozwoju świata. m.in. we Francji, Włoszech, Wielkiej Brytanii, Austrii i Polsce. Jako wieloletni współpracownik Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie kierował Zakładem Biografistyki Polonijnej. W latach 1980-2007 mieszkał we Francji. W 1993 r. współzałożył Instytut Badań Biograficznych w Maisons-Alfort. Był laureatem nagród i wyróżnień między innymi Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego im. Jana Pawła II, francuskich historyków Piarron de Chamousset, czy „Fidelis Poloniae”. Był także pomysłodawcą nagrody za zasługi dla promocji dokonań Polaków w świecie – medalu honorowego „Polonia Semper Fidelis”, ustanowionego przez Senat RP (1996). Urodził się w 1948 roku w Opatowie i tu został pożegnany 1 lutego 2023 r.

*

Bogumiła Żongołłowicz (*Melbourne, Australia*)

*

parafrazując Kochanowskiego
Zbyszkowi Judyckiemu

*



Pożegnanie prof. Zbigniewa Andrzeja Judyckiego, 1 lutego 2023 r., w Kolegiacie pod wezwaniem świętego Marcina w Opatowie, fot. Rozalia Nowak



Pożegnanie prof. Zbigniewa Judyckiego w Opatowie, fot.
Rozalia Nowak

wielkieś mi uczynił pustki

w domu moim

tym zniknięciem swoim

*

wszędobylskie wróble
poniosły w świat wieść

co z posad wyrwała wiare

w żywych

*

ręce zawisły nad klawiaturą

przerwane zostało skupienie

zrodziło się pytanie

na jaki adres przesyłać

zamówiony artykuł

*

no bo jak to

miałbyś nie odebrać

nie podziękować

nie pozwolić zwyczajowo

wygłosić

nie wydrukować

*

z adresu

judycki2010@gmail.com

wysyłasz wiadomości

do (nie)przyjaciół

*

cierpliwości

jak się urządzę na nowo

zaproszę was wszystkich

na sympozjum w niebiosach

*

gwarantuję

będzie nieziemsko

*



Najtrudniej pisać o przyjaciółach w czasie przeszłym. O Zbyszkum szczególnie. W dalekiej Australii „był” częstym gościem w moim domu. „Był” w cydzysłowie, bo ta obecność sprowadzała się do rzeczowej, a jednocześnie serdecznej, korespondencji.

Nawet wtedy, gdy ograniczała się ona do kilku słów. W pierwszym liście pisał „Szanowna Pani”, już w drugim „Droga Miłko”, a w ostatnich „Cześć Kangurku”.

Jak dziś pamiętam okoliczności naszego poznania. Był rok 1996. Na kilka tygodni zajęłam fotel redaktora naczelnego „Tygodnika Polskiego” w Melbourne. Dlaczego naczelnego, skoro redaktor był tylko jeden, za to odpowiedzialny za wszystko, co dotyczyło wydania pisma, trudno mi było zrozumieć. Tak się przyjęło mówić.

Objęłam redakcję z pustymi regałami. Nawet tzw. michałków zabrakło. Na jednej z półek leżał kanadyjski „Związkowiec”. W nim natrafiłam na wywiad z Agatą i Zbigniewem Judyckimi, inicjatorami i redaktorami „Ilustrowanego słownika biograficznego Polonii świata”. Wielomilionowa polska diaspora długo czekała na swój niezafałszowany obraz, Polacy, postacie wspaniałe, niekiedy bohaterskie, na swoje miejsce w ojczystym panteonie. Ten obraz postanowili stworzyć Judyccy.

Na końcu wywiadu zatytułowanego „Ocalić od zapomnienia”, który przeprowadziła Anna Sobolewska, podany był adres Zakładu Biografistyki Polonijnej w Maisons-Alfort we Francji. Ponieważ w tym wywiadzie zabrakło mi wzmianki o kraju mojego osiedlenia, napisałam do Judyckich z wyrzutem: *A gdzie Australia?* W odpowiedzi Zbyszek zaprosił mnie do współpracy.

Moja pierwsza lista propozycji biogramów liczyła 14 osób. Wśród wymienionych był Andrzej Chciuk, o którym pisałam, że z przyjemnością popełniłabym o nim artykuł, bo od kilku lat gromadzę materiały do jego biografii, którą właśnie zaczęłam. Zbyszek przystał na tę propozycję zapraszając na III Sympozjum Biografistyki Polonijnej, które odbyło się w Rzymie w 1998 roku. Wtedy poznaliśmy się osobiście.

III Międzynarodowe Sympozjum Biografistyki
Polonijnej w Rzymie
25-27 września 1998 r.

Organizator:

Związek Biografistów Polonijnej w Rzymie

Miejscowość:

1) Papiecki Uniwersytet św. Tomazsa w Rzymie

2) Stacja Naukowa PAN w Rzymie

Obecność odbywać się będzie na Papieckim Uniwersytecie i Stacji PAN. A oto wolny program:

25.09.98 - godz. 10⁰⁰ - 17⁰⁰ - obrady

godz. 19⁰⁰ - wieczni spotkania

26.09.98 - godz. 10⁰⁰ - 13⁰⁰ - obrady

godz. 13⁰⁰ - lunch w restauracji

godz. 18⁰⁰ - spotkanie

w ogrodach Ambasady RP i wreszcie
medzi "Polonia Sanza Fideles" z udziałem
Maurizio Santis RP i Mirosława Walewskiego.

(ok. 200 osób)

27.09.98 - godz. (?) prywatna audycja

na Radio Polonia II dla uczestników

Sympozjum.

Zakwaterunek: Dom Polonii J.P. II w Rzymie.

UCZESTNICY: (miejscowi) Polska, Francja, USA, Włochy,
Wielka Brytania, Niemcy, Niderlandy i AUSTRALIA!!!

Odręczny plan III Sympozjum Biografistyki Polonijnej w Rzymie
w 1998 r. autorstwa prof. Zbigniewa Judyckiego, arch.
Bogumiły Żongołłowicz

Minęło ćwierć wieku. „Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów” -
tytuł książki zawdzięcza Jerzemu Giedrojciowi - doczekał się

drugiego wydania, ale pierwszy egzemplarz pierwszego wydania otrzymał ode mnie Zbyszek. Książkę wydaną przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie przewieziono autokarem z uczestnikami IV sympozjum do Wiednia w 1999 roku. Tam też miała swoją promocję. W Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Wiedniu ówczesny wiceministr edukacji narodowej Wilibald Winkler wręczył mi medal honorowy „Polonia Semper Fidelis” za pomoc przy opracowywaniu słownika.

Z Australii do Polski daleko i drogo. Zbyszek jednak zawsze nakłaniał mnie do przyjazdu, a jak to nie było możliwe, do napisania kolejnego artykułu o kolejnym rodaku, którego losy rzuciły na antypody: duchownym, wojskowym, muzyku, biznesmenie czy lwowianinie.

Już nie pamiętam, o jaką przysługę mnie prosił przed lubelską imprezą. Powiedziałam żartem: *To Cię będzie kosztowało.* Potraktował żart serio i przed moim wystąpieniem w pięknych wnętrzach Zamku Lubelskiego wręczył szalik – nie powiem – bardzo gustowny. Paradowałam w nim przez cały miesiąc pobytu w kraju. Listopad 2015 roku był zimny.



Arkady Kubackiego, Zamek Królewski w Warszawie, 2018 r. Od lewej: prof. Zbigniew Judycki, dr Bogumiła Żongołłowicz, Stanisław Małecki, *fot. Krzysztof Czajka*

W styczniu 2018 roku odbierałam wyróżnienie ministra spraw zagranicznych RP za książkę „Konsul. Biografia Władysława Noskowskiego” w Arkadach Kubickiego na Zamku Królewskim w Warszawie. Zbyszek sprawił mi wtedy wielką niespodziankę wręczając po oficjalnej ceremonii świeżo wydany album „Twórcy wizerunku Polonii”, w którym i moja sylwetka została przedstawiona. Żadne z nas nie pomyślało wtedy, że widzimy się po raz ostatni.

Czekał na mój materiał na kolejne sympozjum, tym razem

poświęcone filmowcom polskim i polskiego pochodzenia rozrzuconym po świecie. Termin – luty 2023. Dał mi więcej czasu niż innym. W publikacjach nadesłanych i przyjętych referatów – ułożonych alfabetycznie – moje teksty zawsze znajdowały się na końcu. Spisywałam wywiad z Sophie Turkiewicz, australijską reżyserką filmową polsko-włoskiego pochodzenia, nagrany dwa tygodnie wcześniej w Sydney, gdy dotarła do mnie zasmucająca wiadomość.

Od współpracy ze Zbyszkim zaczęło się moje gromadzenie dokumentacji biograficznej Polonii australijskiej. Trwa do dziś. Końca roboty nie widać.

*



Kolegiata pod wezwaniem świętego Marcina w Opatowie, fot.

Rozalia Nowak

Rozalia Nowak (*Poznań*)

W białym szaliku, kurtce rozpiętej, z rozwianymi, bujnymi włosami, uśmiechnął się do mnie pewnej jesieni... W szarości istnienia roku 1971 ten KTOŚ prawił o lepszym istnieniu – zrobmy coś... twórzmy!

Zamówił u mnie ikonę (pierwszy raz zmierzyłam się z tematem) i podarował w zamian „Album ikon”, z którego korzystam do dziś.

Jego inteligencja, wiedza, śmiałość, dowcip wyróżniała go pośród szerokiej grupy znajomych i bardzo mi imponowała. Nie było łatwo z nim konkurować. Pełen pomysłów, tak jak wszyscy borykał się z przyziemnymi trudnościami, poznał tajniki brnięcia przez skostniałe przeszkody, aby się rozwijać.



Pożegnanie prof. Zbigniewa Judyckiego na cmentarzu w Opatowie, fot. Rozalia Nowak

Impuls jego niezmiernie ciekawej osobowości maszeruje ze mną przez życie. Trudno zapomnieć o tym jak bardzo wspierał mnie w moich nieśmiałych twórczych początkach. Sam w latach 1970. tworzył piękne akwarele. Jeszcze minionego lata 2022 r. zobaczyłam w jego domu szalone abstrakcje! Często mnie pytał jak werniksować, jakie farby są najlepsze. Drzemiąca w nim pasja czekała, aby się zerwać do lotu! Posiadał wiele moich obrazów – konie, portrety jego i jego córki. Kochał i szanował sztukę.

Serdeczny, bardzo skrupulatny, dobry i pomocny, a przy tym skromny, był uwielbiany przez naszych wspólnych przyjaciół.

W 1992 roku zostałam zaproszona do współpracy w Instytucie Badań Biograficznych, bywałam na sympozjach (Zakopane, Kielce, Francja, Wiedeń). Brałam udział w wystawach, zaprojektowałam okładkę do książki „Polscy sportowcy w świecie”, przygotowałam pokaz mody. Skreśliłam także parę wierszowanych utworów do kilku pism, w których mnie zamieścił. Rozmowy z nim zawsze były budujące i inspirujące w moim niełatwym życiu, pozwalały mi oderwać się od codzienności, za co byłam mu bardzo wdzięczna.

W 2022 roku pracowałam nad portretami w postaci 123 rysunków do najnowszej encyklopedii Polonii.

Prof. Zbigniew Andrzej Judycki osiągnął wielki sukces w swojej długoletniej pracy nad biografią Polonii. Zaangażowany sercem i duszą, przemierzał najdalsze zakątki świata, by odnaleźć i zanotować w godnym miejscu ludzi na emigracji w tak wielu dziełach biograficznych.



Targi Książki w Warszawie, 2019 r., od lewej: prof. Zbigniew Judycki, Magdalena Bykowska-Pignard – Prezes Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie z siedzibą w Paryżu, Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Prof. Zbigniew Judycki zgłosił się po otrzymaniu przeze mnie statuetki Złotej Sowy, przyznanej przez Klub Inteligencji Polskiej w Austrii, w kategorii – Literatura w 2018 r. Zaproponował, aby mój biogram znalazł się w drugim tomie „Twórców wizerunku Polonii”. Pierwszy tom, w którym ukazało się 100 biogramów

Polaków-emigrantów, był już wydany z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Prof. Judycki napisał:

Warszawa, 2 maja 2019 roku

Szanowna Pani,

Po odniesionym sukcesie wydawniczym pierwszego tomu albumu „*Twórcy wizerunku Polonii*”, Fundacja Sedeka „Zdążyć z Pomocą” przygotowuje do druku II tom prezentujący 100 kolejnych sylwetek wybitnych Polaków i osób polskiego pochodzenia, które wniosły znaczący wkład w rozwój cywilizacji i kultury krajów osiedlenia.

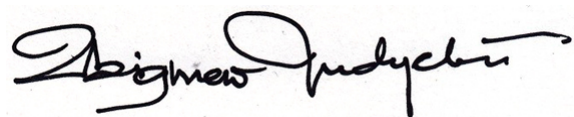
Będzie nam niezmiernie miło zamieścić w tym albumie krótki biogram oraz fotografie ukazujące Pani sylwetkę. (...)

Gromadzenie świadectw biograficznych Polaków i osób polskiego pochodzenia mieszkających w różnych krajach świata nie ma cienia przesady czy megalomanii. Jest bardzo ważne dla wizerunku Polski i Polonii.

Z nadzieją na miłą współpracę przesyłam wyrazy mojego szczerego szacunku.

prof. Zbigniew Judycki

Redaktor Albumu



*

*

Byłam niezwykle wzruszona i zaszczycona tą propozycją. I tak znalazłam się w grupie kolejnych 100 osób w II tomie, wydany w 2019 r. W tym też roku poznałam osobiście profesora podczas Targów Książki w Warszawie. Mówił wówczas o swoich wielkich planach związanych z utrwalaniem dokonań Polaków za granicą i projektem budowy Pomnika Polonii, który miałby stanąć w Warszawie. Zostałam członkiem honorowym komitetu do spraw budowy Pomnika Polonii i przedstawicielką tej inicjatywy w Teksasie.

*



Autor projektu: artysta plastyk Tadeusz Kurek. Monumentalna rzeźba z brązu (wysokość: 350 cm) przedstawiająca postać kobiety symbolizującej Polonię, trzymającą w lewej ręce kulę ziemską, u której stóp znajduje się rzeźba orła. Postać kobiety umieszczona jest na cokole (wysokość: 200 cm), którego frontowa część obłożona jest czarnym granitem z napisem z mosiądzu „Polonia Semper Fidelis”. Cała wysokość pomnika 5,5 metra. Za głównym pomnikiem na łuku o promieniu 525 cm rozmieszczone są na kolumnach (wysokość: 150 cm) z czerwonego piaskowca popiersia z brązu (wysokość 65 cm) dziesięciu wybitnych Polaków-emigrantów. Całość placu (30 m kwadratowych) zajmującego Pomnik Polonii, wyłożona jest kostką granitową w kolorze brązowym.

Jako redaktor magazynu internetowego „Culture Avenue”,

utrwalającego dokonania Polonii, często korzystam z tomów „Twórców wizerunku Polonii”, są dla mnie inspiracją i bogatym bagażem wiedzy. Jestem za tę inicjatywę niezmiernie wdzięczna prof. Judyckiemu i jego żonie Agacie.

Prof. Judycki napisał we wstępie do tej cennej publikacji:

Polscy emigranci budowali i budują swoje życie, wrastając w społeczności wielu krajów świata, nie zapominając jednocześnie o swoim pochodzeniu. W trudnych momentach naszej historii Polonia miała ogromny wpływ na losy Polski, aktywnie wspierała nasze dążenia do niepodległości, wspomagała i czynnie uczestniczyła w odbudowywaniu polskiego państwa. Względy polityczne okresu PRL-u sprawiły, że o Polonii mówiło się półprawdy, albo nie mówiło się wcale. To zaważyło na historiografii, na możliwościach przekazu osiągnięć i wkładu w rozwój światowej cywilizacji Polaków mieszkających na obczyźnie. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest brak wiedzy o udziale Polonii w formowaniu współczesnej cywilizacji, a także błędy polegające na zaliczaniu Polaków do innych narodowości. Na dzieje Polonii rozsianej na wszystkich kontynentach składają się w znacznej mierze osiągnięcia indywidualne. Niestety większość tych osiągnięć – niejednokrotnie godnych podziwu czy wręcz bohaterskich – ulega kompletnemu zapomnieniu.

Nie znalazły również pełnego odzwierciedlenia w zagranicznych publikacjach słownikowych, które często nie informują o polskim rodowodzie danej osoby.

Pamiętajmy o tym i my. Kto ma dbać o pamięć na temat polskich dokonań poza Polską, jak nie my, Polacy na emigracji. Podążając drogą prof. Judyckiego i przekazując dalej jego przesłanie, spełnimy jego wielkie marzenie.

*

Zobacz też:

Twórcy wizerunku Polonii

Karnawałowe tradycje



Fot. pixabay

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Karnawał to okres zimowych balów maskowych, pochodów i kuligów. W polskiej tradycji zaczynał się do **Święta Trzech Króli** (6 stycznia), a kończył **Ostatkami**, we wtorek przez **Środą Popielcową**, która rozpoczynała **Wielki Post**, trwający 46 dni do **Niedzieli Wielkanocnej**. W tradycji ludowej okres ten nazywany był również zapustami, albo mięsopestem, gdyż było

to pożegnanie z jedzeniem mięsa przed postem. Zresztą polskie słowo *karnawał* jest zapożyczone z włoskiego *carnevale*, oznaczające pożegnanie z mięsem. W okresie karnawału na stołach dominują zatem potrawy mięsne oraz słodkości, aby najeść się „na zapas”. **Tłusty czwartek** to ostatni czwartek przed Wielkim Postem. W tym dniu według polskiej tradycji jadło się **pączki**, ze słodkimi nadzieniami. Pączki, w kształcie kuli, wyrabia się z ciasta drożdżowego z mąki pszennej i smaży na smalcu, a potem polewa lukrem. Pączki były znane już w starożytnym Rzymie, w Polsce pojawiły się w średniowieczu. Początkowo były nadziewane słoniną. Pączki na słodko były zapożyczeniem arabskim i pojawiły się na polskich stołach w XVI w. Kulisty kształt paczków pochodzi z XVIII w., gdyż wtedy zaczęto używać do wypieku drożdży.

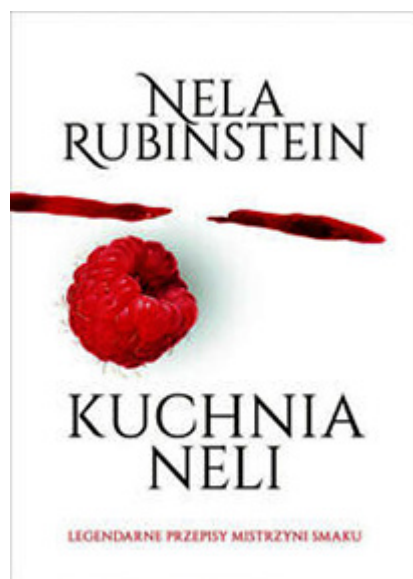
Zarówno w Tłusty Czwartek, jak i w **Ostatki** jadło się również **faworki**, zwane też chrustem. Są to tradycyjne, chrupiące ciastka, w kształcie kokardki, smażone w głębokim tłuszczu i posypane cukrem pudrem. Nazwa została zapożyczona z języka francuskiego, słowo *faveur* oznaczało wąską, jedwabną wstążeczkę. Faworki powstały w średniowieczu, znane były na Litwie i w Niemczech. Według legendy, niedoświadczony cukiernik, robiąc pączki wrzucił przypadkiem na rozgrzany tłuszcz wąski kawałek ciasta drożdżowego. Żeby nie wzbudzić gniewu swojego pracodawcy, po wyjęciu usmażonego kawałka ciasta, które ukształtowało się w warkocz, posypał je cukrem

pudrem. Przez długi czas faworki były robione z ciasta drożdżowego, a od pączków różniły się tylko kształtem i brakiem nadzienia. Później przygotowywano je z ciasta lanego, lub biszkoptowego. Z czasem zaczęto używać innego, bardziej lekkiego ciasta – śmietanowego, zbijanego, dzięki czemu faworki są cienkie i chrupiące.

*

Przepis Neli Rubinstein na chrusty z książki „Kuchnia Neli”

(wersja angielska Nowy Jork 1983, wersja polska tłum. Elżbieta Jasińska, wyd. Muza 2001, 2019).



CHRUST

Chrust kojarzy mi się zawsze ze świątecznym stołem, chociaż

podawało go się przede wszystkim w ostatki. Ów wtorek poprzedzający środę popielcową, był ostatnim „tłustym” dniem, który miał osłodzić czterdziści dni Wielkiego Postu. Była to więc dla dzieci nie lada gratka. Wielkie sterty delikatnych, poskręcanych, podłużnych kawałków ciasta, posypanych cukrem pudrem, wyglądały rzeczywiście jak oszronione gałązki. Te nadzwyczaj kruche i delikatne ciasteczka rozpływają się dosłownie w ustach. Co zaś do ilości, sami się Państwo przekonają, że 8 tuzinów, to wcale nie tak wiele.

Składniki na 8 tuzinów:

1 jajko, 2 żółtka, 1 łyżka stołowa octu, 2 łyżki stołowe rumu, 2 łyżki stołowe cukru, 1/4 łyżeczki soli, 1/3 szklanki śmietany, 2 łyżki stołowe zmiękzonego masła, 2 szklanki mąki (trzeba mieć w zapasie więcej), 500 g smalcu do smażenia, cukier puder do posypania.

Sposób wykonania:

W dużej misce ubić jajko i żółtka, a następnie dodać ocet, rum, cukier, sól i śmietanę. Dobrze wymieszać. Włożyć zmiękzone masło i jeszcze raz bardzo dokładnie wymieszać. Stopniowo, po jednej szklance wsypać mąkę i dalej mieszać. Gdy ciasto robi się bardzo sztywne, przełożyć je na wysypaną mąką stolnicę i wyrabiać tak długo, aż uformuje się w kulę i zacznie odchodzić

od rąk.

Ciasto przykryć miską i odstawić na ok. 10 minut. Następnie podzielić je na pięć kawałków. Po kolei każdy rozwałkować na wysypanej mące stolnicy na możliwie cienki i długi kawałek. Gdyby ciasto się trochę kleiło, należy posypać je mąką. Jeśli kawałek ciasta zrobił się długi, przeciąć go na pół i wałkować tak długo, aż będziemy pewni, że nie można go zrobić cieńszym. Każdy pasek pociąć wzdłuż na „wstążki” grubości ok. 3 cm. Następnie każdą wstążkę pokroić w poprzek na kawałki długości ok. 9 cm. Na każdym wąskim pasku ciasta należy jeszcze zrobić podłużne nacięcie długości ok. 3 cm, przez które trzeba przeciągnąć jeden z końców paska.



Faworki według przepisu Neli Rubinstein, wykonanie Joanna Sokołowska-Gwizdka

Smalec włożyć do dużego, ciężkiego rondla i rozgrzać do temperatury 180 stopni C. (Niewielka kostka niezbyt świeżego chleba wrzucona na tłuszcz o tej temperaturze zbrązowieje w ciągu 45-50 sekund). Faworki położyć na tłuszcz, kilka razy obrócić, a gdy ciasto spiecznieje i nabierze złocistobrazowego koloru, wyjąć. Trwa to wszystko bardzo krótko, nie więcej niż 10-15 sekund. Nie radzę wkładać do rondla zbyt wielu kawałków ciasta, a tylko tyle, ile będziemy w stanie skontrolować.

Usmażone wyjąć z tłuszczu i umieścić na bibule, która wchłonie cały tłuszcz. Gdy pierwsza partia faworków jest już usmażona i osączona z tłuszczu, posypać je (z obu stron) cukrem pudrem i

odstawić.

Rozwałkować drugi kawałek ciasta. Postępować tak samo jak z pierwszym. Wszystkie te czynności powtórzyć z pozostałymi kawałkami ciasta. Gdybyśmy nie chcieli smażyć wszystkich faworków od razu, ciasto można zapakować i wstawić do lodówki, lub zamrozić.

*

Zobacz też:

Staropolskie kuligi i szlichtady

Zabawy karnawałowe i słynne przyjęcia u Potockich
w Łańcucie

„Polacy nie gęsi
i swój język mają” –
Jerzy Korey-
Krzeczowski (1)



Jerzy Korey-Krzeczowski (1921-2007) w swoim domu w Toronto, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Jerzego Korey-Krzeczowskiego poznałam krótko po przyjeździe na emigrację do Toronto, w 2001 r. Pracowałam wówczas w „Gazecie”, największym dzienniku Polonii w Kanadzie. Jerzy Korey przyszedł do mnie do redakcji, mieszczącej się w polskiej dzielnicy, przy ul. Roncesvalles. Wydał mi się ciekawym człowiekiem, który wiele przeżył. Umówiłam się z nim na

rozmowę. I tak się zaprzyjaźniliśmy. Gdy w 2003 roku zaczęłam redagować „List oceaniczny” – comiesięczny dodatek kulturalny „Gazety” – spotykaliśmy się regularnie, raz w tygodniu. Jerzy Korey chciał, żebym spisała jego wspomnienia. Opowiadał mi o dzieciństwie, młodości, wojnie, emigracji i wielu ciekawych osobach, które spotkał w życiu. Używał przydomka „Korey” – jak mi powiedział – była to zbitka słów Korczak i Rey. Korczak – bo takim herbem pieczętowała się rodzina Krzeczowskich, a Rey, od kultu Mikołaja Reya – poprzedniego patrona Gimnazjum w Kielcach, które kończył Jerzy Krzeczowski. Mottem stało się dla Jerzego Korey-Krzeczowskiego stwierdzenie poety, że „Polacy nie gęsi i swój język mają”.

Wspomnienia Jerzego Korey-Krzeczowskiego, w dwóch częściach – do 1951 roku, czyli do wyjazdu na emigrację do Kanady i od 1951 roku, do 2003 r., są wynikiem wielu godzin spędzonych na rozmowach, spisanych, autoryzowanych i pierwotnie opublikowanych w „Liście oceanicznym” w Toronto (*nr 10, październik 2003 i nr 11, listopad 2003*).

*

Wspomnienia do 1951 roku – Polska, Rumunia, Niemcy

*

Życie jest ciekawe. Moje było bardzo ciekawe. Zawsze

uważałem, że przez życie należy iść przebojem. Cała moja filozofia życiowa opierała się na tym, że muszę iść naprzód, i naprzód, i pokonać wszystkie przeszkody. Jeżeli nie mogę normalnie przejść przez bramę, to muszę przejść naokoło. Ale przejdę. I to było moje życiowe credo.

Rodzina, rodzice, dzieciństwo



Ojciec Antoni Marian Krzeczowski



Matka Zofia Emilia Wanda z Chmielewskich

Urodziłem się 13 lipca 1921 roku jako syn Antoniego Mariana i Zofii Emilii Wandy z Chmielewskich. Moi rodzice mieszkali w Kielcach, ojciec był sekretarzem prokuratury Urzędu Wojewódzkiego. Rodzice poznali się przed wojną, a zaręczyli się w 1914 roku przed samym wyjazdem ojca, który został zmobilizowany, a cały sąd ewakuowany. Ponieważ ojciec skończył Gimnazjum z rosyjskim językiem wykładowym i wspaniale mówił po rosyjsku to go od razu zatrudniono i wkrótce wywieziono do Kijowa. Przebywał tam w randze kapitana rosyjskiej armii i zajmował się aprowizacją. Potem wybuchła rewolucja, ojciec szybko zrzucił rosyjski mundur, poszedł do polskiego komitetu obywatelskiego w Kijowie i został ewakuowany do Polski. Zanim jednak wrócił, trwało to parę ładnych miesięcy. Po powrocie ojca z Kijowa, rodzice zdecydowali, że się pobiorą. Ślub odbył się w Kielcach, 3 lipca 1920 roku. W następnym roku ja przyszedłem na świat. Wychowywała mnie mama, która zajmowała się domem, gdy ojciec pracował. Nie mieliśmy już żadnych majątków, byliśmy biedni jak mysz kościelna. Majątki były skonfiskowane po powstaniu styczniowym. Ojciec był sędzią i żył z pensji sędziowskiej. Z dawnych czasów nic nie zostało, wszystko co było, to w dawnych wiekach.

Rodzice byli bardzo tradycyjni, mieliśmy więc bliski kontakt z innymi członkami rodziny. Siostra mojej matki, Maria Szulcowa, została moją mamą chrzestną. Jej mąż był inżynierem geometrą i

przeprowadzał pomiary wszystkich majątków w województwie kieleckim. Wspominam o tym, bo potem, gdy musiałem uciekać z Kielc, jego kontakty okazały się niezwykle przydatne, gdyż wszystkich znał i wiedział, gdzie mnie może ulokować.

Pamiętam, gdy miałem ok. 3 lat, moja ciotka, Maria Szulcowa, zabrała mnie na przejażdżkę wielkim, wspaniałym wozem. Wujostwo byli dość zamożni, więc mieli szofera. Byłem bardzo podekscytowany przejażdżką. Przez siedem lat wychowywałem się jako jedynak, potem przyszła na świat moja siostra, Zosia. Mama ścięła wtedy swoje piękne, bardzo długie włosy.

Szkoła



„Młodzi idą” okładka pisma Gimnazjum w Kielcach.

Skończyłem gimnazjum im Stefana Żeromskiego w Kielcach.

Kiedyś szkoła nosiła imię Mikołaja Reja, ale już za moich czasów

nazwa została zmieniona. Tradycje Żeromskiego były szkole

bliskie i wciąż żywe, gdyż był on kiedyś jej uczniem. Mówiliśmy o

nim „starszy kolega”. Nawet na jednej z ławek szkolnych

widniało jego nazwisko. Wszystko o nim wiedzieliśmy, czytaliśmy

jego książki. Szkoła miała humanistyczny kierunek, a siedmiu z

moich kolegów zostało pisarzami. Moim bliskim kolegą był

Wiesiek Jażdżyński, który potem wykładał przez pewien czas w

szkole dziennikarskiej, a mieszkał w Łodzi. Jedna z jego książek

jest o naszej klasie. Korespondowałem z nim od 1990 roku, bo

przedtem nie chciałem go narażać na kontakty z taką osobą jak

ja. Innymi kolegami, także z mojej klasy, byli Józef Ozga

Michalski, znany polityk, Marian Przeździecki, pisarz poeta, Marian

Sołtysiak, sławny dowódca drużyny wybranieckiej, działający w

podziemiu. Starszym o rok kolegą był pisarz, Gustaw Herling-

Grudziński, który wprowadził mnie do redakcji pisma szkolnego

„Młodzi idą” i dawał mi pierwsze wskazówki literackie. Przez

trzy ostatnie lata pobytu w gimnazjum byłem redaktorem

naczelnym tego pisma. Pobyt w szkole był bardzo ciekawy, a od

kiedy Wiesław Jażdżyński napisał książkę o naszych szkolnych

latach, często wracam do tego okresu oraz wyjątkowych i

niezwykłych ludzi.

Wojna

Potem przyszła wojna. Cóż więc mówić o wojnie?

Już na początku zacząłem działać w Organizacji Bojowej, Tajnej Armii Polskiej. Zajmowaliśmy się dywersją. Robiliśmy zamieszanie wśród Niemców, a mieliśmy do nich dobre dojście, bo nasz profesor germanista był tłumaczem u niemieckich władz i przekazywał nam różne informacje. Dzięki temu mogliśmy szczegółowo opracować zamachy. Wysadziliśmy kilka mostów oraz wiele pociągów, głównie transporty wojskowe, które szły na front i wyłukliśmy sporo Niemców. Wkrótce zostałem mianowany podporucznikiem, a za rok porucznikiem. Wojnę zakończyłem w randze kapitana. Pamiętam, że w 1941 roku byliśmy z żoną na Sitkówce, jakieś parę km od Kielc. Jest to ładnie położona miejscowość letniskowa, a my mieliśmy tam działkę. Byliśmy z moimi rodzicami na skraju lasu, gdy zobaczyliśmy przelatujące, niemieckie samoloty. Zorientowaliśmy się, że szykuje się wojna z Rosją. To było 21 czerwca, jeśli się nie mylę.



Jerzy Krzeczowski w Kotlicach, 1944 r.

Niedaleko, w dominium Kotlice, gdzie mieszkałem po ucieczce z Kielc, były rozległe tereny trawy nasiennej. Tereny te zamieniliśmy na lotnisko. Nazywały się Tarnina 1 i Tarnina 2. Lądowały tam samoloty z Anglii, przywożące do Polski różnych ludzi. Spali oni potem w moim pokoju, a na drugi dzień jechali do Warszawy. Na lotnisko zrzucono też broń dla AK. Bardzo dużo było tych zrzutów, bo w kieleckiem działała dobrze zorganizowana partyzantka. Znajomi koledzy z partyzantki u nas się zaopatrywali. W majątku była gorzelnia, mieliśmy 96-procentowy spirytus. Niemcy zabierali produkcję, więc dzieliliśmy się z partyzantami, zanim Niemcy ją zabiorą. Spirytus się sprzedawało i w ten sposób zarabialiśmy.

Kiedy Rosjanie weszli do Kotlic, zobaczyli, że jest tam gorzelnia, rozlali spirytus i bardzo szybko wszyscy byli pijani. Postaraliśmy się, żeby dostać na kwaterę sowieckiego pułkownika. On się

zgodził, postawił wartę i dzięki temu przeżyliśmy. Cała wieś była grabiona, kobiety gwałcone. Następnego dnia znalazłem rosyjskiego „kamandira”, który miał samochód. Zgodził się zawieźć nas do Kielc za 2 litry spirytusu i papierosy.

W czasie wojny jeździłem na tajne komplety na Uniwersytet Jagielloński, na którym studiowałem prawo. Studiował tam też wówczas sztuki teatralne przyszły papież, Karol Wojtyła. Jeden z profesorów ciężko chory leżał w łóżku i egzaminował nas z łóżka. Dyplomu nie dostałem, przecież uczelnia była tajna. Wydano mi zaświadczenie po polsku, że zwróciłem wszystkie książki i ... (w nawiasie) – zdałem wszystkie egzaminy, podpisane przez Małeckiego, który był wtedy rektorem tajnego uniwersytetu polskiego.

Po wojnie

Zaraz po wojnie Józef Ozga Michalski z mojej klasy został przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej przy Urzędzie Wojewódzkim w Kielcach. Poszedłem wtedy do niego i mówię – Józek, trzeba ratować skarby w polskich majątkach, bo wszystko się zniszczy. Rosjanie już strzelali do obrazów. Ja mogę się tym zająć w Urzędzie Wojewódzkim, a jeśli nie, znajdziemy jakieś miejsce. A on na to – akurat potrzebujemy Inspektora Wojewódzkiego do działu kultury i sztuki. Dał mi list polecający do majora Wiślicza, który był wtedy wojewodą kieleckim. Dzięki

rekomendacji Ozgi Michalskiego, zostałem mianowany inspektorem ds. kultury. Jeździliśmy po okolicznych majątkach i zwoziliśmy wszystko, co było można. Te uratowane skarby stanowią obecnie zbiory Muzeum Narodowego, oddział w Kielcach. Zwieźliśmy między innymi księgozbiór należący do księcia Krzysztofa Radziwiłła, który mieszkał przed wojną w województwie kieleckim – ok. 60 tys. książek. Zbiory jeszcze nie zostały skatalogowane, kiedy zadzwonił szef gabinetu ministra kultury i sztuki z pytaniem, czy można by je z powrotem przekazać właścicielowi, ponieważ on pracuje naukowo, a jednocześnie jest szefem protokołu dyplomatycznego. Ja się oczywiście zgodziłem. Za tydzień zadzwonił Radziwiłł i zapytał, czym się może odwdziaczyć. A ja na to – niech mi pan pomoże wyjechać za granicę do służby dyplomatycznej. Za parę tygodni, bodajże w lutym 1946, wezwano mnie do ministerstwa spraw zagranicznych i poinformowano, że jest do objęcia placówka dyplomatyczna w Bukareszcie. Potrzebny był konsul, który będzie jednocześnie prawnikiem. Ponieważ miałem wykształcenie prawnicze, zdobyte podczas wojny na tajnych kompletach na Uniwersytecie Jagiellońskim, zaproponowali mi objęcie tej placówki. Potrzebowali ludzi wykształconych, którzy władali językami. Tolerowali Radziwiłła, który był księciem, więc dlaczego nie mieliby tolerować mnie. Zaraz po wojnie ci, którzy o tym decydowali, byli ludźmi z dawnej dyplomacji z prawdziwego zdarzenia. Oni zorientowali się, że mam kwalifikacje.



Ślub z Ireną Latacz, lipiec 1944 r.

Na placówkach

Rumunia

To była niezwykła podróż. Jechaliśmy 12 dni, w przyczepionym do pociągu specjalnym wagonie. Z Polski pojechaliśmy najpierw do Bratysławy, a stamtąd do Jugosławii. Pozrywane mosty powodowały, że nie wszystkie miejsca były przejezdne, ale nie mieliśmy innej możliwości, trzeba było jakoś przejechać. Z Jugosławii dostaliśmy się nad brzeg Dunaju. Dunajem można się było przeprawić na drugą stronę rzeki. Tam przyjechały po nas auta. Akurat wtedy strajkowano i nie można było nic załatwić. Trzeba było zapłacić łapówkę rumuńskiemu dygnitarzowi, który zarządzał tym odcinkiem. Stamtąd już dojechaliśmy do Bukaresztu. Ambasada polska dostała do dyspozycji dawny pałac

Magdy Lupescu, kochanki króla Karola, który jeszcze żył i mieszkał w południowej Ameryce. Królowa Maria też za moich czasów żyła i była królową matką, a syn Michał, po wygnaniu ojca, został królem. Po przyjeździe do Bukaresztu, musieliśmy być przedstawieni królowi. Obowiązywał bizantyński protokół dyplomatyczny. Trzeba było przejść trzy kroki, stanąć, ukłonić się. Król nic. Znow trz kroki, stanąć, ukłonić się. Wtedy król skinął głową. Potem jeden krok i król jeden krok. Wówczas ambasador mógł zacząć swoją mowę. Trenowali nas, jak to robić. Stałem obok ambasadora jako drugi do przedstawienia królowi. Ambasador przedstawił mnie po francusku, a król się zapytał – jak długo jest pan w moim kraju? – Przyjechałem cztery miesiące temu, ale już mówię pańskim językiem – odpowiedziałem. I zacząłem mówić po rumuńsku. Król bardzo się zdziwił, ale był zachwycony. Wywiązała się dłuższa rozmowa już po rumuńsku, protokół dyplomatyczny się załamał. – Musi pan wkrótce przyjechać do mojego pałacu – powiedział król. I zaprosił mnie do siebie. Język rumuński jest szalenie ciekawą mieszaniną różnych języków, ma rdzeń łaciński, dużo francuskich słów i ok. 20 procent słów pochodzenia słowiańskiego. Ja miałem w szkole niemiecki przez 6 lat, łacinę przez 8 lat, angielski 4 lata. A oprócz tego znałem trochę rosyjski, gdyż mój ojciec, który skończył rosyjskie gimnazjum zawsze liczył po rosyjsku, było mu łatwiej niż po polsku. Miałem wtedy fantastyczną pamięć, więc mogłem się w parę miesięcy nauczyć języka. Po czterech miesiącach pobytu w Rumunii,

prowadziłem wykłady w radio Bukareszt po rumuńsku na temat polskiej kultury.

Król Michał dowiedział się, że mam do dyspozycji awionetkę RWD 13, bo odebraliśmy od Rumunów, polskie samoloty, które w 1939 roku uciekając z Polski, wylądowały w Rumunii. Jeden z tych samolotów zatrzymaliśmy dla ambasady. Oblatywałem nim wszystkie polskie ośrodki. Miałem pilota, pana Krawczyka, który był instruktorem króla i uczył go latać. Wobec tego, mój samolocik miał prawo stać na królewskim lotnisku, co było niezwykłym zaszczytem. Podczas mojego pobytu w Bukareszcie, do Rumunii przyjechali Rosjanie, żeby zmusić króla Michała do rezygnacji. Ale on powiedział – możecie mnie wysiedlić z kraju, ale ja nie zrezygnuję, zawsze będę królem. Nie złożył rezygnacji i nadal ma swoje biuro w Szwajcarii. Korespondujemy ze sobą do tej pory. Zawsze się podpisuje Rex. Król zwykle dyplomatom odwołanym z placówki dawał jakieś wino ze swoich królewskich piwnic. Gdy został oficjalnie powiadomiony, że będę odwołany i wyjeżdżam z Rumunii (było to w ostatnim czasie, kiedy był jeszcze królem), przysłał mi 2 litry swojego wina z piwnicy królewskiej wraz z pozdrowieniami. Bardzo sobie ceniłem ten gest. Potem ja mu się zrewanżowałem. Szereg lat później, gdy zostałem Wielkim Mistrzem Orderu Świętego Jana Jerozolimskiego, mianowałem go Royal Protector.

Pomiędzy placówkami

W Rumunii byliśmy prawie dwa lata. Niedługo potem wyjechaliśmy do Polski, gdyż zostałem formalnie przeniesiony na inną placówkę, ale jeszcze nie było zdecydowane na jaką. Przez krótki czas miałem być radcą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie. W Polsce, żona została u moich rodziców w Kielcach, a ja dojeżdżałem do Warszawy. Proponowano mi wyjazd na placówkę konsularną w Goeteborgu w Szwecji. Pewnego dnia zostałem poproszony do dyrektora departamentu personalnego, żeby definitywnie omówić tę sprawę. Kiedy przyjechałem do Ministerstwa, w poczekalni siedział kolega z MSZ-tu, który, jak się okazało, mówił po szwedzku. Ja szwedzkiego nie znałem. – Dokąd Pan jedzie? – zapytałem. – Wysyłają mnie do Baden-Baden, choć ja nie mówię po niemiecku – odpowiedział kolega. A ja na to – a mnie wysyłają do Szwecji, choć nie mówię po szwedzku. Może się zamienimy? Pan pojedzie do Szwecji, a ja do Baden-Baden, bo ja mówię swobodnie po niemiecku. Mówię też po francusku, a tam jest francuska strefa okupacyjna. Do dyrektora departamentu, weszliśmy więc obydwaj, cała sprawa została załatwiona i w ten sposób dostaliśmy nominacje. Akredytacja przy francuskiej strefie okupacyjnej w Niemczech, to dość długa formalność, która musiała przejść przez różne szczeble we Francji. Powiedziano mi więc, że mogę wyjechać najpierw do Berlina, żeby się zapoznać z problemami niemieckimi, będąc jednocześnie przydzielonym do konsulatu generalnego. To mi bardzo odpowiadało, ze względu na moją wojenną przeszłość.

Chciałem mieć satysfakcję. Niemcy, u których wynajmowałem pokój, zupełnie nie wiedzieli jak się zachowam w stosunku do nich. A to, że byłem normalnym człowiekiem, z którym można o wszystkim porozmawiać, bardzo ich zdziwiło. Pobyt w Berlinie był ciekawy. Konsulat znajdował się w sowieckiej strefie okupacji, a ja mieszkalem w strefie francuskiej. W tym czasie moja żona była w ciąży. Zostawiłem ją w Kielcach, żeby dziecko urodziło się w Polsce. Żona powiedziała, że nie chce, żeby urodził się Cygan w Rumunii, albo Niemiec w Niemczech. Dziecko musi urodzić się w Polsce. Mój syn miał przyjść na świat ok. 24 marca 1948 roku. Ja wobec tego, 21 marca wyjechałem samochodem z Berlina przez Poznań do Kielc. Ale musiałem się zatrzymać w Poznaniu na noc. Gdy przyjechałem do domu, okazało się, że już jestem ojcem. Zbliżały się wtedy święta, moja żona coś robiła w domu i to przyspieszyło poród. Bardzo mnie dotknęło, że się spóźniłem. Ale żona twierdziła, że przyjechałem akurat.

Posiedziałem jakiś tydzień w Kielcach z rodziną i zdecydowaliśmy, że jak dziecko będzie miało ok. trzy miesiące, to przyjadę po nich i zabiorę do Baden-Baden. Po tygodniu wróciłem do Niemiec. Konsulat remontowali, mieszkalem więc w Rastaedt pod Baden-Baden. Po trzech miesiącach przywiozłem żonę z dzieckiem.

Baden-Baden

Pobyt w Baden-Baden był bardzo ciekawy. Francuzi traktowali tę strefę jak swoją własność. Pierwszym językiem dla dyplomatów był język francuski, niemieckiego używano jako drugiego.

Baden-Baden to słynne uzdrowisko. Dostaliśmy bardzo ładną willę, w której mieszkał kiedyś Turgieniew, do prywatnego użytku. Dom był pięknie położony, na szczycie góry. Na tej placówce spotkałem wielu bardzo ciekawych ludzi, np. margrabiego von Baden, kuzyna księcia małżonka królowej angielskiej. Poznałem też miejsca, gdzie się rozgrywała historia. Generałowie, którzy organizowali przewrót przeciwko Hitlerowi, pochodzili z Badeni i ich rodziny tam żyły.



Jerzy Krzeczowski z synem Andrzejem, Baden-Baden, 1949 r.

Niedaleko Baden-Baden, w górach znajdowały się piękne tereny narciarskie. Tylko pół godziny drogi samochodem do wysokich gór, więc mogliśmy jeździć na nartach.

W Baden-Baden było bardzo dużo konsulatów, ok. 60-ciu. Francuzi dali nam prawa, które normalnie konsulom nie przysługują. Np. Konsulowie na samochodzie mają zwykle tabliczkę CC, Consul Consular, a my mieliśmy CD, Corpus Diplomatic. Najbardziej bałem się Rosjan, bo przecież Rosjanie też mieli tam swoją placówkę. Więc nie bardzo utrzymywałem stosunki dyplomatyczne z Rosjanami, tyle co oficjalnie wypadało.

Raz pojechałem do Polski na wakacje, a kiedy wracałem, na lotnisku czekał na mnie cały konsulat. Wszyscy. Zastanawiałem się, co się mogło stać. – Pański zastępca uciekł – powiedzieli. Był majorem wojska polskiego, szefem misji wojskowej i jednocześnie wicekonsulem. Przyjechałem do biura i dowiaduję się – wyjechał, zabrał wszystko ze sobą i zniknął. Za trzy dni dostaję list z pieczętą z Zurychu. List jest prywatny do mnie. Mój wicekonsul pisze – niech pan przyjedzie do Zurychu, czekam na pana. Na drugi dzień zdecydowałem się przyjechać. Melduję się w hotelu, pytam o niego, a oni mówią – niestety, dziś rano wyjechał. Amerykanie go zabrali. Prawdopodobnie chciał się ze mną skontaktować i namówić mnie na ten sam krok.

Starałem się mieć jak najlepsze stosunki z różnymi dyplomatami,

między innymi z Francuzami, z Włochami, ze Szwedami. To był bardzo ciekawy okres. Mieliliśmy mniej więcej 200 przyjęć rocznie, na które trzeba było pójść, a potem się rewanżować. Pamiętam raz zrobiliśmy przyjęcie u nas w domu na 150 osób. Żona miała masę roboty, ale bardzo się wszystko podobało. Innym razem byliśmy zaproszeni z żoną do konsula generalnego Francji. Siedziałem niedaleko jego żony, a moja żona siedziała koło konsula. Francuzi lubili się trochę przekomarzać. Akurat poprzedniego dnia podano do wiadomości, że Konstanty Rokossowski został marszałkiem Polski. Więc zwrócili się do mnie z pytaniem – jak Pan, jako polski patriota reaguje na to, że Rosjanin został marszałkiem Polski? A ja na to – to rzeczywiście niezwykła nominacja, ale muszę państwu powiedzieć, że pierwszym cudzoziemskim marszałkiem Polski był Francuz, marszałek Foch. To ich zaskoczyło i odpowiedzieli – bardzo dyplomatyczna odpowiedź. I już mnie nie męczyli.

Z Francuzami miałem bardzo dobre stosunki. Doskonale wiedzieli, co i gdzie się dzieje, we wszystkim się orientowali. Uważałem, że skoro Rokossowski został marszałkiem, to najwyższy czas się wycofać. Zacząłem myśleć, czy bym nie mógł wywieźć z Polski moich rodziców. Okazało się to jednak niemożliwe, bo w żaden sposób nie można było wydostać ich na paszport konsularny. Niedowierzali nikomu. Tylko moja siostra przyjechała do nas z wizytą na parę tygodni, ale rodzice już nie.

Jednego dnia, późną jesienią 50 roku, do Baden-Baden przyjechała grupa „mołojców”, polskich kurierów dyplomatycznych, którzy właściwie byli rosyjskimi agentami. Niektórzy nawet mówili po rosyjsku, a nie po polsku. Przyszli do naszego domu, żeby mnie odwiedzić. Ja akurat byłem chory, miałem ciężką gripę. Leżałem w pokoju na górze, z wysoką gorączką. I to mnie uratowało. Żona do nich powiedziała – niestety, mąż jest bardzo chory. Ale oni nie dowierzali – czy możemy go odwiedzić? – Proszę bardzo. Chcieli się przekonać. Dopiero gdy zobaczyli, że naprawdę jestem obłożnie chory i nic nie wiem, co się dzieje na świecie, dali za wygraną. Pojechali gdzie indziej i tamtego kolegę zabrali do Polski. Przewidywali, że gdy się go formalnie odwoła, może nie wrócić. Chcieli więc uprzedzić jego decyzję, dlatego go porwali. Dali mu zastrzyk usypiający i tak przewieźli przez granicę. Szereg dyplomatów w ten sposób wróciło.

Gdy doszedłem do siebie, poszliśmy z żoną na lody i powiedzieliśmy sobie, że trzeba się szybko zwijać. Ale jeszcze chciałem poradzić się mojego ojca. Nie zawiadaniałem urzędu, tylko pojechałem Orient Expressem do Polski. Zatrzymałem się w Kielcach, spotkałem się z ojcem, rozmawialiśmy. Ojciec mówi – synu ratuj się. Tu nie masz po co wracać, ratuj się. Zostawiłem ojcu i mamie trochę pieniędzy, pożegnałem się z nimi i to było wszystko. Rano pojechałem do Warszawy, wszedłem do Ministerstwa, udałem się do kolegi, który był jednym z

dyrektorów departamentu, i któremu mogłem ufać. Poszedłem do niego, a on mówi – coś ty zrobił, już na ciebie czekają, granica polsko-niemiecka została zawiadomiona, że jak będziesz wracał, mają cię zatrzymać. Ja cię muszę uratować, dam list kurierski z ważnymi papierami i pojedziesz do Czechosłowacji, a stamtąd do Niemiec. Wsiadłem więc w Orient Expres, który jechał do Baden-Baden przez Pragę. I tak wróciłem do domu.

Kiedy przyszedłem na drugi dzień do biura, zaraz po 10 rano wchodzi sekretarka i mówi – Panie konsulu tu jest pułkownik amerykański, który chce Pana zobaczyć. – Proszę bardzo – mówię. Pułkownik wszedł, przedstawił się i mówi – przyszedłem, żeby się upewnić, czy został pan ostrzeżony w Warszawie. A ja na to – tak zostałem ostrzeżony. – My prosiliśmy naszego człowieka, żeby pana ostrzegł.

Po decyzji o wyjeździe Francuzi zaczęli mi składać różne oferty. Marszałek Francji Guillaume, który został Resident General de Maroc, zaproponował mi placówkę – pracę w administracji w jego biurze w Maroku. Ale moja żona się sprzeciwiła. – Nie – mówi, to za daleko od Europy, za daleko od świata, lepiej nie. I przekonała mnie. Zdecydowaliśmy się więc poczekać na coś innego.

Wezwałem swojego przysłanego z Polski wicekonsula, który należał do partii komunistycznej. Ponieważ ja nie należałem,

więc musiał mnie pilnować. Zwracam się więc do niego – panie P., zdecydowałem zrezygnować ze stanowiska i wszystko panu przekazuję, tu jest kasa, tu są pieczęcie, paszporty, blankiety, tu jest wszystko, pan to przejmie i zawiadomi jutro Warszawę i niech robią, co chcą. A on na to w płacz. – Panie konsulu – mówię – jak pan może mi to zrobić, przecież pan mnie musi zabrać, ja nie jestem komunistą, jestem tylko tu wysłany jako komunistą, ale ja pana podziwiam i chcę wyjechać razem z panem za granicę, ja nie chcę zostać i wracać do Polski. Ja nie mam z nimi nic wspólnego. Wzięli mnie do wojska, boso chodziłem, bo nie było butów, nabawiłem się choroby płuc. Chciałem wyjechać za granicę, żeby być od tego jak najdalej. – Ja na to – panie drogi, ja panu wszystko przekażę, pan oficjalnie zawiadomi Warszawę, a ja będę czuwał, załatwię wizę przez moich Francuzów czy Amerykanów i pana stąd zabiorę. – Czy ja mogę na to liczyć? – Absolutnie. Zacząłem więc zabiegać o wizę do Kanady dla niego. Bo ja już miałem załatwioną, przez Lestera Pearsona, ówczesnego Ministra Spraw Zagranicznych, a późniejszego premiera Kanady. Ambasador na początku nie chciał się zgodzić, ze względu na chorobę płuc mojego zastępcy – przecież my takich nie bierzemy. Ja na to – zróbcie wyjątek, człowiek nie może wrócić do Polski, nie jest komunistą i trzeba go uratować. Weźcie go do Kanady, jak przyjedzie, to dacie go do leczenia i się wyleczy. I w końcu dostałem tę wizę dla niego. Parę miesięcy pobytu w Kanadzie i go wyleczyli. Ten człowiek był tak szczęśliwy. On, jego żona i dziecko. Do końca życia był mi

wdzięczny.

Gdy trzeba było zlikwidować nasze eleganckie mieszkanie w Baden-Baden, Francuzi dali nam do dyspozycji małą willę na skraju miasta pod lasem. Powiedzieli – pan tam będzie mieszkał, naokoło jest nasz posterunek, będziemy pilnować domu. Jest pan w bezpiecznym miejscu. Stamtąd przewieziemy pana do portu, z którego pan odjedzie. Mamy pana pod opieką, niech się pan nie boi. I rzeczywiście żandarmeria francuska cały czas nas pilnowała. W Baden-Baden była z nami nasza wierna służąca, Ania Muzyczka. Jej mąż zamordował Niemca, który go prześladował w obozie i dostał w Niemczech wyrok dożywotniego więzienia. Nie można go było stamtąd wydobyć. Ania więc do nas mówi – ja z państwem do Ameryki jadę. Ania dostała wizę do Ameryki jako uchodźca. A my pojechaliśmy do Kanady. Ania była z nami w kontakcie, taka wierna służąca, jak rodzina. Kochała tego naszego chłopaka i ciągle się z nim bawiła.

Nasz syn miał wychowawczynię, Niemkę, która była siostrą katolickiego arcybiskupa. Nazywała się Frau Kohlmayer. Niemka ta była bardzo nam oddana i nauczyła Andrzeja mówić po niemiecku, co oczywiście denerwowało moją żonę. A Andrzej był dwujęzyczny, oba języki szybko opanował i nie miał z tym żadnych trudności.

Miałem też bardzo oddanego szofera, Niemca Norberta, który

dawniej był osobistym szoferem Feldmarszałka Scheinhorsta. Pochodził z rodziny niemieckich socjalistów, którzy nienawidzili Hitlera. Jego ojciec był więziony. On mi był mi tak wierny, jak tylko Niemiec może być wierny swojemu przełożonemu. W czasie naszego pobytu zdecydował się ożenić i prosił mnie, żebym był na jego ślubie i weselu. On był naszym kontaktem z zewnętrznym światem, gdy oczekiwaliśmy na wyjazd do Kanady. Mogłem mu ufać.

Gdy przyszedł dzień wyjazdu, pojechaliśmy do Bremen, który jest dużym portem. Miał nas odwiedzić szwedzki statek, Anna Salem. Statek ten wypełniony był do ostatniego miejsca emigrantami, jadącymi do Kanady. Płynął do Halifaxu. Odpłynęliśmy w pięknej pogodzie, mijaliśmy Danię, widzieliśmy z daleka Kopenhagę i wypłynęliśmy na pełne morze. Za parę dni zaczęła się burza. Mieliśmy płynąć osiem dni, a płynęliśmy dwanaście dni. Burza była tak straszna, że statek się nie posuwał, był rzucony w tę i z powrotem. Nie wiedzieliśmy, czy wyjdziemy z tego żywi, bo to był stosunkowo mały statek. Wszyscy ludzie chorowali na żołądek, lub wymiotowali, nikt nie mógł znieść tego kołysania. I tak nam zeszła podróż.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego Jerzego Korey-Krzeczowskiego.

Część 2:

„Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey-Krzeczowski
(2)

*

Jerzy Korey-Krzeczowski, ekonomista, dyplomata, publicysta, poeta. Urodzony 13 lipca 1921 roku w Kielcach, w okresie II wojny świat. żołnierz Organizacji Bojowej Tajnej Armii Polskiej oraz Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej. Studia prawnicze na UJ w Krakowie (1940-44), doktorat na Uniwersytecie we Freiburgu (1948-49), doktorat na Uniwersytecie w Tybindze (1950), studia podyplomowe na Uniwersytecie Harvarda (1975). Naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Kielcach (1945-46), attache kulturalny Ambasady Polskiej i konsul w Bukareszcie (1946-47), konsul w Berlinie 1948, w Baden-Baden (1948-51). Od 1951 roku w Kanadzie. Zmarł w Toronto w 2007 r.

Spotkanie z Henrykiem Czyżem

W 2023 r. mija 100-lecie urodzin wielkiego polskiego dyrygenta





Henryk Czyż, fot. Archiwum Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie

Marek Drewnowski (*Polska*)

Jeden, jedyny raz spotkałem Henryka Czyża w Filharmonii Narodowej po koncercie, który dałem z okazji zjazdu i jubileuszu ZAIKS-u. Grałem wtedy IV Symfonię Szymanowskiego z Polską Orkiestrą Radiową pod dykcją Wojciecha Michniewskiego. Spotkałem Czyża po koncercie, w restauracji Filharmonii, w towarzystwie Witolda Lutosławskiego. Miałem z Witoldem

Lutosławskim chwilę rozmowy na temat płyty dla Deutsche Gramophone, której zresztą nie nagrałem i wtedy poznałem Henryka Czyża.

Nie wyglądał nadzwyczajnie; chudy, żółty na twarzy, rozczarował mnie swoim wyglądem, na estradzie w telewizji wyglądał zawsze świetnie. Nie rozmawiałem z nim, wydawał się zajęty swoimi myślami, jak gdyby przygnębiony. Zresztą, w tym momencie miałem interes do Lutosławskiego, a raczej chęć wyjaśnienia paru rzeczy, więc byłem skoncentrowany na rozmowie i nie próbowałem zagadywać Czyża. Obok siedział Konrad Drzewiecki i próbował zwrócić na siebie moją uwagę.

Był to jedyny mój kontakt z Czyżem; nie było już później okazji. Dowiedziałem się, że już wtedy walczył z chorobą. Natomiast znałem Czyża z książek, koncertów, nagrań i telewizji.

Książki były ciekawostką. W tych czasach muzycy byli jednokierunkowi; jak fortepian, to fortepian; jak dyrygentura, to tylko dyrygentura. Czasy wszechstronnych muzyków jeszcze nie nadeszły. A Czyż dyrygował, pisał książki, komponował i nagrywał programy telewizyjne.

Więc dyrygent piszący, w dodatku showmen, wydawał się wtedy dziwakiem z pretensjami. I mimo, że nie byłem zafascynowany Jego pisarstwem, za czasów studenckich kupowałem książki,

oglądałem wyjątkowe jak na ówczesne, polskie czasy programy telewizyjne, które były replikami programów Leonarda Bernsteina i bywałem na koncertach, szukając w nich recepty na sukces.

Na koncercie w Krakowie dyrygował Mszą Rossiniego. Prowadził Orkiestrę Filharmonii Krakowskiej z dużym blaskiem, wysoko i wyraźnie unosząc ręce. Dyrygował z pewną dezynwolturą, temperamentem i dużym, można powiedzieć przesadnym, jak mi się wtedy zdawało, efektem. Ale robiło to duże wrażenie, do tego stopnia, że znany krytyk, już nie żyjący, Marian Wallek Walewski chodził w czasie przerwy po Filharmonii głośno krzycząc: „Jestem pewny, że Rossini pisał Mszę dla Czyża”.

Prowadził też koncerty z muzyką współczesną, bardzo często Pendereckiego. Tak często, że Andrzej Markowski, też doskonały dyrygent, puścił plotkę, że kompozycja Pendereckiego – „Oratorium”, była zatytułowana: „Wisi na Czyżu”

Czas upływa z nieubłaganą determinacją, o Henryku Czyżu mówi się tylko przez pryzmat Jego śmierci, czy to jest los nas wszystkich? Człowiek, dopóki istnieje, szuka uniwersalnych wartości, pracuje, dochodzi do apogeum swoich możliwości, aby później odejść w niebyt, i wszystkie cele w które wierzył również.

Czy za sto lat ktokolwiek zauważy, że to co robił Henryk Czyż,

miało swoją logikę?

Nie jestem pewny! Chyba, że zaistnieje jakakolwiek kultura uniwersalna, której filozofia będzie miała za cel pamięć o wybitnych jednostkach.

A na to się nie zanosí...

*

Henryk Czyż, znakomity dyrygent, pedagog i kompozytor urodził się w 1923 roku w Grudziądzu, studiował kompozycję, dyrygenturę, prawo i filozofię. Od 1957 roku był blisko związany z Łodzią. Wtedy objął stanowisko kierownika artystycznego i pierwszego dyrygenta Filharmonii Łódzkiej. Pozostawał na nim do 1960 roku. Następnie został dyrektorem Teatru Wielkiego w Warszawie oraz kierownikiem artystycznym i pierwszym dyrygentem Filharmonii Krakowskiej. W 1972 r. wrócił do Łodzi i do 1980 roku dzielił funkcje dyrektorskie i kierownicze ze Zdzisławem Szostakiem. Czas ich pracy w Filharmonii Łódzkiej, należy do okresów największej świetności tej placówki.

Henryk Czyż miał na swoim koncie wiele wybitnych interpretacji muzyki współczesnej. Był autorem dziesięciu książek popularyzujących problematykę muzyczną i kompozytorem muzyki do kilku filmów. Za cykl gawęd telewizyjnych przygotowywanych z Orkiestrą Filharmonii Łódzkiej „Nie taki diabeł straszny” otrzymał nagrodę krytyków „Złoty Ekran”. Programowi temu poświęcił jedną z dziesięciu napisanych przez siebie książek o tematyce muzycznej. Zdobył też wiele prestiżowych nagród w Polsce i na całym świecie. Współpracował blisko z Krzysztofem Pendereckim, przygotowując prawykonania jego słynnych dzieł. Henryk Czyż koncertował w kraju, w Europie i obu Amerykach z najlepszymi orkiestrami świata. Był laureatem międzynarodowych nagród za dokonane nagrania. Od początku lat 60-tych zajmował się również pedagogiką, a w gronie jego uczniów są m.in.: Antoni Wit i Jose Florencio Junior.

Bogaty jest też jego dorobek kompozytorski (np. opery: „Białowłosa” i „Kynolog w rozterce”). Pisał również muzykę do filmów fabularnych i dokumentalnych.

Zmarł 16 stycznia 2003 roku.

Zobacz też:

Rytm serca i jasność umysłu

Muzyczna igła w australijskim stogu siana



Wizerunek podróżnika Pawła Edmunda Strzeleckiego, grafika Piotra Słowiańskiego

Ernestyna Skurjat-Kozek (Sydney, Australia)

Dawno, dawno temu, w zamierzchłym XX wieku, Orkiestra Symfoniczna Zachodniej Australii (WASO) wykonała kompozycję Polaka z Brisbane, Jana W. Politowskiego p.t. *Strzelecki Suite*. Jako dziennikarkę Radia SBS bardzo mnie ten temat zafrapował. Z jakiegoś powodu chciałam wejść w posiadanie partytury. Powiedziano mi wtedy, że uległa zniszczeniu, wręcz, że stracona została na wieki. Mijały dziesięciolecia. Kompozytor w międzyczasie zmarł, a ja przeszłam na emeryturę i o *Suicie*

zapomniałam. Dopiero teraz, opracowując plany obchodów Roku Strzeleckiego (w 150-tą rocznicę jego śmierci) zaczęłam zagłębiać się w nader ciekawe materiały archiwalne; dostarczyła mi je znana działaczka z Melbourne, Bożena Iwanowska, OAM. Były to wycinki z prasy australijskiej i polonijnej dotyczące roku 1997, kiedy to obchodzono w Australii Rok Strzeleckiego w dwusetną rocznicę jego urodzin. Tak oto weszłam w posiadanie ciekawych relacji z *International Strzelecki Festival in LaTrobe Valley*.

LaTrobe to krajobrazowo przepiękna i żyzna kraina, obfitująca w bogactwa naturalne, leżąca na terenie Gippslandu odkrytego w roku 1840 przez Pawła Edmunda Strzeleckiego. W roku 1926 postawiono na terenie Gippsland kilkanaście kamiennych pomników, a raczej pomniczków zwanych *cairns*, na cześć Strzeleckiego. Potem była długa cisza i o zasługach Strzeleckiego przypominały tylko nazwy: Strzelecki Ranges, Strzelecki Motel, Strzelecki Brewery czy Strzelecki Bakery no i osada *Strzelecki* z zabytkowym w niej budyneczkiem *Strzelecki Hall*.

Osada Strzelecki ciągnie się na przestrzeni 9 mil między Warragul a Korumbura. Prócz *Strzelecki Hall* znajduje się tutaj jedynie Strzelecki Uniting Church. A między tymi obiektami rozciąga się malownicza *Avenue of Honor. 1914-1918* upamiętniająca żołnierzy, którzy zginęli w czasie I wojny

światowej. Miejscowa ludność to rolnicy, głównie anglosasi. Kiedyś dochodziła tu linia kolejowa, związana z eksploatacją węgla. Dawne czasy...



Morwell – w tym mieście mieści się Emigration Park, na zdjęciu tablica z portretem Strzeleckiego poświęcona migracji do Gippsland, fot. Mariola Berwinska

W roku 1966 pojawił się w osadzie Strzelecki, w tamtejszej szkole, polonijny artysta-medalier Artur Santowiak, mieszkaniec miasta Morwell na terenie Gippsland. Pan Artur ofiarował wtedy szkole aluminiową rzeźbę – podobiznę Strzeleckiego. Portret Polaka wisiał w szkole dopóki mógł, to znaczy do zamknięcia szkoły. Strzelecki Hall miał więcej szczęścia, bowiem został zbudowany na parceli ofiarowanej przez jednego z farmerów, nikt więc nie miał go prawa ruszyć. Gorszy był los szkoły,

bowiem jako własność Departamentu Edukacji została rozebrana, parcelę sprzedano i tyle.

Portret odkrywcy przeniesiono do Hallu w nadziei, że tu kiedyś powstanie Muzeum Strzeleckiego. Póki co, rzeźba uległa dewastacji i Pan Artur zabrał ją do domu. Tak minęło 31 lat. Zanim doszło do renowacji, Pan Artur dostał zawału i przeszedł operację bypassu i dopiero jak wyzdrowiał, to pięknie odnowiony portet przekazał do Strzelecki Hall.

Uroczyste zawieszenie rzeźby odbyło się więc 9 kwietnia 1997 roku. Na ścianach Strzelecki Hall wisiały zdjęcia i artykuły z 1966 roku, których obecność Pan Artur odnotował z przyjemnością. A nie był sam! Wraz z nim przybyło prawie 400 Polonusów z Melbourne i LaTrobe Valley. Nic dziwnego, że lokalna prasa (*South Gippsland Sentinial Times* z 16 kwietnia) pisała: „POLES INVIDE STRZELECKI”. Sprawców „inwazji” witał szef Komitetu Peter Walsh, któremu Polacy wręczyli czek na ponad półtora tysiąca dolarów. Emeryckie składki przeznaczone były na renowację ośrodka. Z ówczesnych zapisków wynika, że gospodarze przygotowali smakowite BBQ, a przybysze dali występy artystyczne. Dokoła powiewały flagi polskie i australijskie. Kwietniowa impreza w Strzelecki Hall była tylko preludium do wydarzeń na większą skalę.

Oto w lipcu tego roku *Latrobe Valley*

Express odnotował wspólne celebrowanie dwusetnych urodzin Strzeleckiego: „People toast Strzelecki birthday”. W Latrobe Regional Gallery w Morwell otwarto okolicznościową wystawę przygotowaną przez Muzeum i Archiwum Polonii Australijskiej przy wsparciu lokalnych organizacji: Związku Polaków i Klubu Seniora *Złota Jesień*.



Jan W. Politowski na szczycie Mt Barney Qld, czerwiec 2022 r.

Jak czytamy w archiwalnym *Biuletynie Seniora* (nr 5) w sierpniu 1997 roku zaczęto planować wielki festiwal Strzeleckiego, który miał się odbyć w dniach od 17 do 19 października. Działano tu już ręka w ręce z władzami australijskimi. Festiwal swoim patronatem objął ówczesny premier Wktorii, Jeff Kenneth. Plany były imponujące. Będzie wystawiona sztuka Haliny Bielickiej p.t. *Strzelecki*, ze słynną aktorką Gosią Dobrowolską w obsadzie.

Wystąpi znakomity pianista Sławomir Zumis, a Kazimierz Lewandowski zorganizuje widowisko „światło i dźwięk”, będą parady, mecze, festyny, odsłonięcie tablicy poświęconej Strzeleckiemu na Mt Fatigue oraz UWAGA! premiera *Suity Strzelecki!!!*

Wykonała ją *LaTrobe Orchestra* pod batutą Kathleen Teychenne. Niedawno się dowiedziałam, że Kathleen to niezwykle popularna w owych czasach postać. Na 20 lat przed premierą *Strzeleckiego* nagrodzona została orderem **British Empire Medal** za wielkie zasługi w dziedzinie muzyki i kultury. Jak wynika z ówczesnych relacji *Suita* składała się z pięciu części nazwanych: *Alla Polacca*, *Kurniawa*, *Kopiec*, *Adyna* oraz *Hungry Jig*. Kurniawa to witkacowskie określenie na kurzawę, zawieję, czy śnieżycę, zawieruchę. Nie wiemy jakiego okresu życia Strzeleckiego dotyczyła owa zawierucha (okres powstania listopadowego?). Jasne natomiast było, że w dalszej części *suita* opowiada o Kopcu Kościuszki, którego budowę obserwował Strzelecki w czasie swego pobytu w Krakowie. Co do *Adyny* wiadomo – tu mamy wątek miłosny, losy dwóch rozdzielonych serc, wiecznej tęsknoty wyrażanej w listach pisanych przez długie lata. Tytuł *Hungry Jig* (jig to tradycyjny irlandzki taniec) sugeruje zapewne humanitarne działania Strzeleckiego w Irlandii. Tyle się możemy domyślać „fabuły” opowiadanej przez muzykę.

60

STRZELECKI
SUITE
NO. 4.

ADYNA
(ALEXANDER)

Companions Suite
Pisa Torayzsko.

1
2
3
4
5

fl
ob
cl
cor
tb, tn.
pfte
vn1
vn2

Adagietto = 48

p

pp

1.

pp 2.

Piano

P

div. sempre con sordino

pp sempre con sordino

Jan W. Politowski, Strzelecki Suite, Adyna, fragment partytury

Kiedy tylko natknęłam się na wiadomość o premierze *Suity* naszło mnie dziwne pragnienie, żeby odszukać partyturę i zagrać kompozycję Politowskiego ponownie – teraz w Roku Strzeleckiego. Moje poszukiwania poszły dwoma torami. Napisałam do Jacka Sławomirskiego, skrzypka i dyrygenta z Perth, którego poznałam w zamierzchłym czasie, kiedy to z wozem transmisyjnym Radia SBS bawiliśmy na drugim krańcu Australii robiąc audycje na żywo. Emerytowany już muzyk

obiecał dostać się do archiwów WASO i poszukać partytury, wszak to on sam dyrygował Suitą w latach 90. Był wtedy dyrektorem artystycznym orkiestry. A Janek Politowski był jego starym przyjacielem, obydwaj pochodzili z Krakowa, obaj różnymi szlakami trafili do Australii. Janek mieszkał w Brisbane, był dyrygentem, ale czuł się przede wszystkim kompozytorem. Jego marzenie się spełniło, kiedy Jacek doprowadził do wykonania *suity* w Perth. Słyszę też, że Janek był wyjątkowej rangi chórmistrzem, z tej racji często bywał w Melbourne. Może stąd go „zawiało” do Morwell, wszak to niedaleko?



Natalia Krysiak Sny o zmierzchu – pod eukaliptusem Strzelecki
pisze list do Adyny, towarzysz podróży James Macarthur

drzemie, a aborygeński przewodnik medytuje

Jacek Sławomirski, jako się rzekło, uprosił archiwum WASO, by poszukało partytury *Suity*, bardzo potrzebnej w Roku Strzeleckiego. Moje email'e jednocześnie powędrowały do Morwell. Najpierw do pani burmistrz o ładnym, irlandzkim nazwisku. Strasznie frustrujące było czekanie na wyniki. Najpierw *bad news* z Perth. Znaleziono tam tylko kilka wyrwanych stroniczek, nadających się może tylko jako pamiątka do muzeum. Po mniej więcej miesiącu dostaję odpowiedź od delegata pani burmistrz. Oświadczył, że poszukiwania partytury w Gippsland zakończyły się fiaskiem. Proponował jednak, abym napisała do osoby, która obecnie prowadzi orkiestrę LaTrobe, może ona przeszuka ich własne archiwa. OK. Napisałam do niej, ale z poczuciem, że marzenia łatwo się nie realizują. Już widziałam czarne kolory, kiedy nagle ze stanu żałoby wyrwał mnie telefon. – Hallo, Ernestyna? Tu Alison Teychenne, wiceprezes LaTrobe Orchestra. Spędziłam wczoraj pół dnia przedzierając się przez kurze archiwum. No i mam good news! Znalazłam partyturę! I to na samym dnie! Miałam do ciebie napisać, ale pomyślałam, że taką wspaniałą wiadomość powinnam ci przekazać osobiście. Wyobraź sobie, że na tej partyturze znalazłam coś napisanego ręką mojej babci – dyrygentki!

Obie piałysmy z zachwytu przekrzykując się nazwajem. Wreszcie stało się jasne, że Alison chce zagrać suitę w Roku Strzeleckiego;

Jacek z Perth już petraktuje z tamtejszą orkiestrą, bo nagle i jemu zachciało się dyrygować, w Warszawie na partyturę czeka już dwóch zaprzyjaźnionych dyrygentów... I tylko biedny Poznań wraz z Głuszyńą jeszcze nie wiedzą, jaką propozycję „nie do odrzucenia” mam w zarękawku...

*

G A L E R I A



Gigantyczne drzewo typowe dla Gippsland, pod takim podobno nocował Strzelecki podróżując przez Gippsland

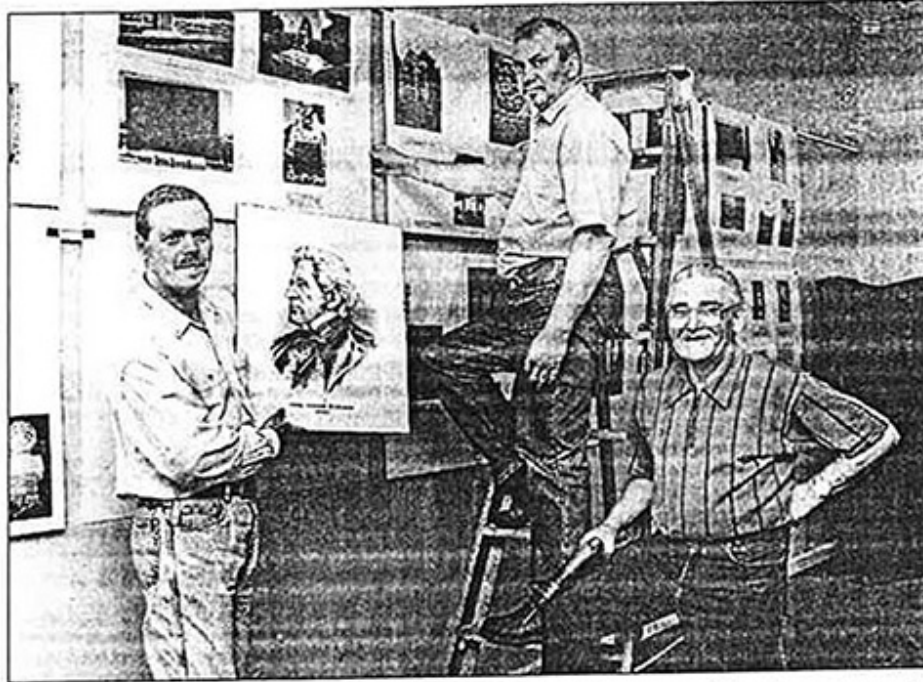
Exhibits to honor Sir Paul

MORE than 100 members of Polish communities from Melbourne and across Gippsland attended last Sunday's opening of an exhibition commemorating the 200th anniversary of Sir Paul E Strzelecki's birth.

The exhibition, to run for two weeks at the Latrobe Regional Gallery, honors the Polish explorer, scientist and historian who had a close association with Gippsland.

More than 100 items are on show at the exhibition, which kicks off major Gippsland celebrations for the year. It will run until 3 August and is one of several commemorative events planned.

An international festival will be held in Morwell



from 17 until 19 October and will include a play, concert, soccer match, street parade and sound and light display.

The exhibition opening was attended by Polish Community Council of Victoria member Dr

Zdzislaw Derwinski, who also welcomed the national president of the Polish Museum and Archives in Australia, Andrew Gozdicki.

Festival committee member Keith Brownbill said the opening attracted

one of the largest crowds ever at the gallery.

▲ Preparing for the exhibition are (from left) Dr Zdzislaw Derwinski and Polish community members Ryszard Grazewski and Artur Santowiak.

THE LATROBE VALLEY EXPRESS 24.7.97

Wystawa w Morwell w 1997 r., na zdjęciu po lewej dr Zdzisław Derwinski, założyciel i dyrektor Muzeum i Archiwum Polonii Australijskiej

Genetics of the Strzelecki Koala



A Strzelecki Koala. Photo: David Slickney

By Alix Williams

Monash PhD student Faye Wedrowicz will discuss the "Genetics of the Strzelecki Koala" at the Latrobe Valley Field Naturalists' Club meeting on Friday, 24 April.

Faye's research investigates the small remnant population of Strzelecki Koalas.

She is using genetic methods and DNA isolated from scats to estimate the population, approximate distribution, size and level of genetic diversity.

Her study is providing information to inform future management strategies for koalas in

the Strzelecki region and across Victoria.

The meeting from 7.30pm is at the Uniting Church Hall on the corner of Old Sale Road and Chamberlain Road, Newborough.

On the following day there will be an excursion to the Morwell National Park.

Visitors are most welcome to both activities; there is no charge. For more information phone 5634 2246 or 5127 3393.

Koala nazwana imieniem Strzeleckiego, szczególny przypadek genetyczny, badany przez młodego naukowca polskiego pochodzenia



Obraz Adyny z kwiatkiem na tle Pomnika Strzeleckiego w Jindabyne miasteczku nieopodal Gory Kosciuszki, autorka obrazu Agnieszka Hasulak, fot. Felix Molski

STRZELECKI

INTERNATIONAL



FESTIVAL

MAJOR SPONSORS

The Lichols Shire recognises the support of the major sponsors of the inaugural Strzelecki International Festival to be held over the weekend of 17-19 October, 1997



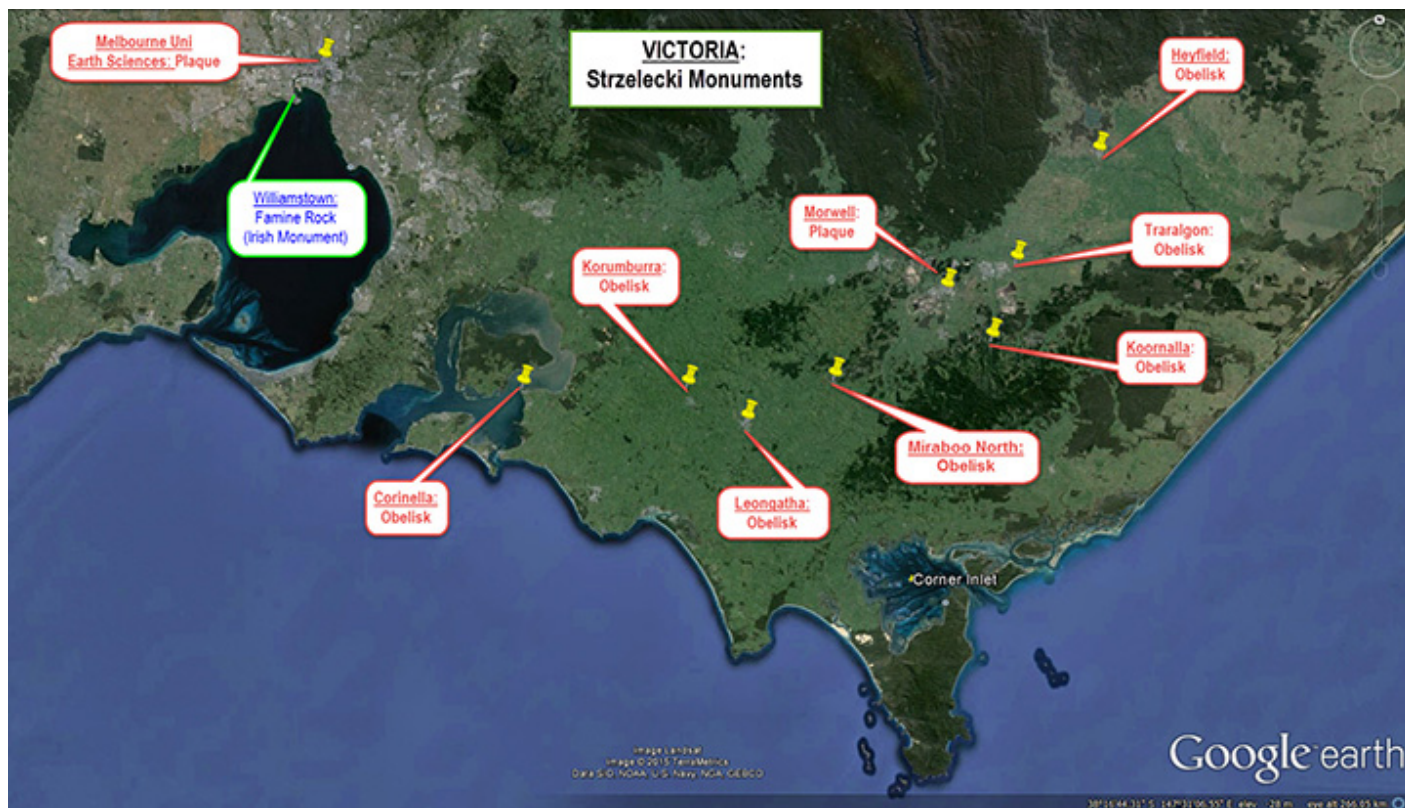
Robert Romanowicz, Adyna czytająca list od Pawła Strzeleckiego



Adam Fiala (Perth), Adyna dojrzała



W Gippsland znajduje się ufundowana przez Polonię i zamontowana nieopodal Mt Fatigue w roku 1997 tablica pamiatkowa. Przypomina ona, że w lutym 1843 roku kapitan brytyjskiej marynarki królewskiej statku BEAGLE, kapitan J.L. Stokes nazwał tę górę (Górę Zmęczenia) na cześć swojego przyjaciela, Pawła Edmunda Strzeleckiego



Mapa obelisków Pawła Edmunda Strzeleckiego w Gippsland



Zobacz też:

Paweł Edmund Strzelecki – postać fikcyjna czy realny człowiek?

Portret z kobietami, czyli Paweł Edmund Strzelecki żywy.

Między cyrylicą a szwabachą – Stanisław Klawe (2).



Stanisław Klawe, Bard Biesiad, fot. Miejski Ośrodek Kultury w Piastowie

Maria Duszka (*Polska*)

MIŁOSZ CZYTANY POD SCHODAMI

Oddzielnym rozdziałem w twórczości Stanisława Klawe były utwory wynikłe z fascynacji poezją Czesława Miłosza. I tutaj musimy cofnąć się do połowy lat 70. Polonistą przyszłego barda w Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Rejtana był Ireneusz Gugulski. To właśnie od niego Stanisław usłyszał po raz pierwszy o przyszłym nobliście. „Interesowałem się poezją i bardzo mnie dręczył problem: kto to jest ten Miłosz? W 1975 r., po maturze wyjechałem na wakacje do rodziny do Londynu. Tam w polskiej bibliotece znalazłem wiersze Miłosza wydane przez paryską „Kulturę”. Wiedziałem, że gdybym kupił tomy jego poezji, to zostałyby mi na granicy od razu skonfiskowane. Straciłbym i pieniądze, i Miłosza. Nabyłem więc mały magnetofon i – w domu, a czasem nawet siedząc w bibliotece pod schodami – czytałem na głos wiersze przyszłego noblisty i nagrywałem je. W ten sposób zapełniłem około 20 kaset. A niektóre wiersze wpisywałem do zeszytów. I tak udało mi się przemycić poezję Miłosza przez granicę. Jak zacząłem czytać głośno te utwory, to wyczułem ten rytm miłoszowski. I to mnie bardzo ujęło. Wystarczyło potem w domu wziąć gitarę do ręki i melodie przychodziły same. W ten sposób powstało kilkanaście utworów. Świetnie pamiętam te

momenty, kiedy nad nimi pracowałem. Jednymi z pierwszych były «Piosenka o porcelanie» i «Piosenka pasterska», – wspomina Stanisław.

Wykonywał je potem w klubach na imprezach zamkniętych, na które przychodzili tylko zaproszeni goście. Tam cenzura zazwyczaj nie sięgała. „Jeśli kierownictwo klubu było otwarte, to można było śpiewać, co tylko się chciało. Nie zgłaszałem więc tych utworów do cenzury – a miałbym dzisiaj parę fajnych pieczętek na swoich tekstach. A tak to zostałem z niczym” – ironizuje bard.

W 1978 r. Stanisław nagrał dwie kasety wspólnie z Maciejem Rayzacherem, który został usunięty z Teatru Powszechnego za współpracę z KOR-em i zajmował się działalnością kulturalną w podziemiu. Aktor czytał wiersze, a bard wykonywał piosenki z tekstami Miłosza. Te kasety ponoć dotarły do poety.

„W maju 1980 r. zgłosił się do mnie redaktor Zdzisław Mac z radiowej Trójki i zaproponował: – Słuchaj, śpiewasz tego Miłosza, to chodź, ja ci nagram parę piosenek w studiu. Wiesz, przyoszczędziłem trochę taśmy. – Taśma była wówczas reglamentowana, ale on był reporterem, więc miał zwykle jakiś naddatek. Nagrania zrobiliśmy na Malczewskiego. Wprowadził mnie tam do takiego zwykłego studia jako gościa, z którym ma rozmowę. On był realizatorem. Dał mi mikrofon i ja te piosenki

zaśpiewałem. Potem wyszedłem z radia... Pamiętam, że było słoneczne popołudnie, a ja tak sobie szedłem z tą gitarką i myślałem: – Matko święta, to taka smutna konspiracja. I co z tym dalej będzie? I kiedy się to skończy? – Miałem takie poczucie beznadziei, myślałem, że to nasze nagranie pójdzie do szuflady. A tymczasem w październiku Miłosz otrzymał Nobla. I wtedy po raz pierwszy została puszczona w Trójce nagrana przeze mnie pół roku wcześniej «Piosenka o porcelanie». Ja sam nawet tego nie słyszałem, znajomi mi powiedzieli. To był mój debiut radiowy, o ile nie było wcześniej jakichś relacji z festiwalu krakowskiego – tego nie wiem. Zaraz potem zaczęto wydawać wiersze Miłosza. Wszyscy wtedy kupowali jego książki, a ja z tymi swoimi kajecikami tak zostałem” – wspomina bard.

W grudniu 1980 r. Stanisław Kławe był na spotkaniu z Miłoszem w siedzibie wydawnictwa NOWA. Zaśpiewał kilka piosenek z tekstami noblisty. Poeta powiedział mu, że jest zaskoczony tym, że tylu ludzi zna w Polsce jego utwory. Myślał, że jego książki trafią do może trzystu czytelników. Po tylu latach nieobecności w Polsce miał prawo tak sądzić. Opowiedział też anegdotę o tym, że w 1940 r. napisał sobie na urodziny „Piosenkę pasterską”. Zaśpiewał ją zaproszonym gościom na stworzoną przez siebie melodię. Podszedł do niego wówczas Witold Lutosławski i z sympatycznym uśmiechem powiedział: „Wiesz, Czesławie, bardzo to ładny wiersz, ale muzyka, to taka hm... nie za skomplikowana”.

Stanisław Klawe przygotował potem według własnego scenariusza spektakl poetycko – muzyczny w oparciu o utwory noblisty „...więc mogę być spokojny o to co kochałem”, w świetnej aranżacji Stanisława Krupowicza (kolegi barda jeszcze z LO im. Rejtana), z towarzyszeniem kwartetu smyczkowego. Spektakl prezentowany był najpierw na Scenie Kameralnej krakowskiego Teatru Starego z udziałem Olgierda Łukaszewicza, a potem w Klubie Politechniki Warszawskiej Riviera-Remont z Wojciechem Pszoniakiem.

W Łomży odbywał się cykliczny festiwal poezji. Organizował go poeta Jan Kulka. W 1981 r. zaprosił na tę imprezę także Czesława Miłosza i, aby mu zrobić przyjemność, jego kolegów z grupy „Żagary”. Stanisław Klawe wykonał tam kilka piosenek z towarzyszeniem kwartetu smyczkowego. „Dostałem wtedy od noblisty «Psalmy» w jego tłumaczeniu, z dedykacją. Siedzieliśmy, rozmawialiśmy i nawet mi do głowy nie przyszło, żeby sobie zrobić z nim fotkę. To spotkanie odbywało się w skansenie nad Narwią. Miłosz z Arturem Międzyrzeckim stali, patrzyli z sentymentem na rzekę i rozmawiali o tym, że podobnie w Wilnie Wilejka się wije...” – wspomina bard.

PO CO SIEDZIELIŚMY W NISZY?

Jak opozycyjny bard ocenia zmiany, które zaszły w Polsce po roku 1989? Uważa, że przemiany gospodarcze i polityczne są

raczej pozytywne, natomiast pewne nurty kultury na tym straciły. „I teraz trudno znaleźć przyczyny. Kultura jest dotowana, ale nie wiadomo dlaczego taka, a nie inna. Z rynku korzystają tacy artyści, którzy korzystali i w poprzednim ustroju. My byliśmy w niszy, która wtedy wydawała się taką niszą optymistyczną, mimo znowu uwikłania w pewien układ polityczny. Wiadomo, że kultura studencka organizowana była przez SZSP, ale wielu działaczy było zacnych, zrobiło dużo dobrego. Związani byli z klubem Riwiera Remont. Często działali niekoniumkturalnie. Nie po to, żeby zrobić karierę. Mieli fajne pomysły, np. każdy z klubów stworzył taką swoją supergrupe składającą się z laureatów Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Obok krakowskich Jaszczurów, wrocławskiego Pałacyku, gdańskiego Zaczka, Remont należał do najlepszych klubów akademickich w Polsce. To była też ciekawa publiczność, prawdziwa elita – nie tylko techniczna. Ludzie bardzo sprawni intelektualnie, którzy potrafili docenić to, co wartościowe. Myśmy na początku lat osiemdziesiątych grali podczas strajków organizowanych na uczelniach przez Niezależne Zrzeszenie Studentów, ale też na salach i korytarzach podczas strajków robotniczych. Trudno się przyznawać do tych rzeczy dobrych, które były. Bo one są teraz uważane za niedobre” – wyznaje Stanisław.

Jeszcze w latach 90. miała miejsce próba telewizyjnego programu „Powrót bardów”. Stanisław Klawe był wówczas

recenzentem wewnętrznym telewizyjnych programów rozrywkowych. W jednym z konkursów publiczność miała wybrać najlepszy utwór. Wystąpili w nim obok wielu innych wykonawców m.in. Gintrowski i Kaczmarek. Wygrała najbardziej nieciekawa piosenka. Stanisław pomyślał wtedy: „I po co myśmiliśmy tam męczyli w tej niszy, myśląc, że to kiedyś będzie komuś bardziej potrzebne?”

W latach 90. Stanisław Kławe zorganizował też kilkanaście edycji festiwalu „Przybycie bardów” – w Brwinowie, Węgrowie, Grodzisku Mazowieckim i Warszawie. Występowali na nich ludzie piszący i komponujący własne utwory. Trochę szkoda, że ten ruch bardowski się nie rozwinął. Jedną z niewielu imprez, które propagują tego rodzaju twórczość jest Międzynarodowy Festiwal Bardów OPPA organizowany nadal w Warszawie.

Stanisław ma za sobą także kilka lat intensywnej współpracy z rozgłośniami radiowymi. Przez półtora roku tworzył śpiewane na nutę dziadowską felietony informacyjne w Radiu Plus. W redakcji był o 6.00 rano, aby już o 7.50 zaśpiewać na żywo nowy czterozwrotkowy, rymowany utwór pisany do stałego podkładu muzycznego, komentujący najświeższe wiadomości – obyczajowe i polityczne. Trzy razy dziennie na żywo w radiu ogólnopolskim! W tym czasie stworzył chyba tyle wersów, ile liczy *Pan Tadeusz*. Takie muzyczne felietony wykonywał także w Radia Dla Ciebie – ale tylko raz w tygodniu.

Wspólnie z Andrzejem Paulukiewiczem tworzył też kolumnę satyryczną „Ueorgan Ludu” w tygodniku „Wprost”. Przez kilka lat pisał teksty dla „Zsypu” – satyrycznej audycji nadawanej w I Programie Polskiego Radia. To w jednym z jej odcinków w rocznicę śmierci Agnieszki Osieckiej w 2007 r. wykonał po raz pierwszy piosenkę „Wstążka pani Agnieszki”. Była w niej m.in. taka zwrotka:

Gdy głowa taka ciężka

coraz dotkliwszy brak

Gdzie jest pani Agnieszka

co powie nam, co i jak?

POŁĄCZENIE MIŁOSZA Z KABARETEM

„Nigdy nie robiłem niczego na zamówienie, nawet własne. Nie myślałem, że teraz walnę tutaj pięciu Czechowiczów, albo sześciu Gałczyńskich. Choć Czechowicz wydawał mi się taki kuszący, podobnie jak Leśmian, ale kilka osób już wykonywało ich utwory. A jak poeci byli popularni, to ja już ich nie śpiewałem. Mnie wiersze oczywiste nie interesowały. Zawsze szukałem własnych ścieżek, lubiłem wyszukiwać mało znane

utwory. Staralem się, żeby to było niebanalne. Pewne piosenki musiałem zaśpiewać. Dla mnie muzyka była formą wniknięcia w tekst, na miarę tych moich możliwości. Śpiewałem Lechonia «Pytasz, co w moim życiu», kilka utworów Gałczyńskiego, między innymi «O mojej poezji», także kilka wierszy Herberta, między innymi «Architekturę»czy «Prośbę» – wspomina bard.

Najwięcej piosenek Stanisława Kławe ma charakter satyryczny. Najbardziej znane jego utwory to: „Piosenka pieska pokojowego”, „Goście światło”, „List otwarty”, „Amerykański plan”, „Wizyta prezydenta”.

„Ja tak naprawdę cierpię trochę na brak tożsamości bardowskiej. Uważam, że nie do końca się realizuję jako bard. Publiczności jest wszystko jedno, czyich tekstów słucha, byleby były dobre. Natomiast ja mam taką organiczną potrzebę podkreślenia autorstwa. Jestem strasznie na nie wrażliwy. I zawsze mnie interesuje, kto napisał dany tekst. I ciągle szukam w Internecie, i błogosławię go, że mogę sprawdzić, kto jest autorem danej piosenki. To są dla mnie niesamowite odkrycia często. Jestem wielbicielem piosenki, ale fascynuje mnie też bardzo muzyka poważna. Już przecież z wyborem sekcji w klubie Remont miałem problem – stałem przed plakatem i nie wiedziałem, gdzie się zapisać. U mnie to jest jakoś dziwnie posklejane. Połączenie Miłosza z kabaretem to jest przecież trochę... trudne.” – przyznaje z uśmiechem Stanisław. „A nie mogłem sobie w życiu

odmówić napisania iluś tam tekstów satyrycznych, zresztą, takich chyba napisałem najwięcej. We mnie siedzi i to, i to. Nie mogę się pozbyć ani tego, ani tego. Czasem coś zrymuję lekko, satyrycznie, a czasem ironicznie. Zresztą ironia to także ważny składnik i poezji Gałczyńskiego, i Herberta – trudno się tego wyzbyć.”



Od lewej: Stanisław Klawe, Maria Duszka, Marta Sosnowska, Krzysztof Krakowski, Magdalena Krakowska i Wojtek Gęsicki na koncercie z cyklu „Scena Zaulek”, Dom Kultury w Łomiankach, grudzień 2021 r., fot. arch. Domu Kultury w Łomiankach.

Stanisław Klawe w latach dziewięćdziesiątych wracał jeszcze do Miłosza, ale nie było woli wydawniczej i producenckiej. A potem

Studio, w którym nagrywał te piosenki, rozpadło się i po tych nagraniach nie pozostał ślad. Czuł jednak potrzebę stworzenia czegoś poważnego. Sięgnął wówczas po teksty Mickiewicza i Słowackiego. I tak powstała jego debiutancka płyta „Nad wodą wielką i czystą” nagrana w studiu Jacka Wąsowskiego.

„Zawsze miałem problem z takim dopięciem... W 2021 r. roku realizowałem online projekt *Bardowie panny «S»* poświęcony jubileuszowi 40-lecia Przeglądu Piosenki Prawdziwej «Zakazane piosenki», który odbył się w 1981 r. w gdańskiej Hali Oliwia. I wtedy Grzesiu Tomczak przysłał mi dokładny program tej imprezy i swoje teksty opatrzone pieczętkami cenzury. Bo on zbiera wszystko, ma całe archiwum. Ja swoje zdjęcie z występu na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie dostałem od fotografa Jerzego Fedaka po czterdziestu latach – znalazł je, porządkując swoje archiwum. Tak samo jest z nagraniami, nie zadbałem w porę, żeby je zachować” – żałuje Stanisław.

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznał Stanisławowi Klawe Brązowy Medal „Zasłużony dla Kultury Gloria Artis”. Za działalność na rzecz niezależnej kultury i wydawnictw drugiego obiegu został także wyróżniony Odznaką Honorową „Zasłużony działacz kultury”.

Bard udziela się nadal w wielu organizacjach. Należy do Stowarzyszenia Autorów ZAiKS oraz Związku Zawodowego

Twórców Kultury. Jest też członkiem Zarządu w Stowarzyszeniu Literacko Muzycznym „Ballada” i „Warszawskiej Sceny Bardów”. W latach 2010 – 2020 Stanisław Klawe pełnił ważną funkcję Sekretarza Generalnego Związku Polskich Autorów i Kompozytorów „ZAKR”. Prezesami w tym czasie byli kolejno: Jacek Korczakowski, Ryszard Ulicki i Krzysztof Dzikowski. Od niedawna ZAKR ma nowe władze. Stanisław Klawe życzy następcom powodzenia. A sam ma nadzieję, że teraz będzie miał czas na dopięcie swoich spraw – pisanie, komponowanie nowych utworów, a także nagranie na płytach piosenek, które na to czekają, niektóre od wielu już lat.

*

Część 1:

Między cyrylicą a szwabachą – Stanisław Klawe (1).

Zobacz też:

Wilno, czy ty pamiętasz mnie?